NASZ ŚWIAT

Nº 2

ROK 1930



ORGAN

ZRZESZENIA PRACOWNIKÓW BANKU POLSKIEGO

T. GĄSIEWICZ

NASZ ŚWIAT

KWARTALNIK

ORGAN ZRZESZENIA PRACOWNIKÓW BANKU POLSKIEGO

NR. 2. *WARSZAWA* *ROK II.*

1930

SPIS RZECZY.



Ś. P. Dr. JAN STANISŁAW LEWIŃSKI

PROFESOR EKONOMJI I BANKOWOŚCI EMISYJNEJ

(WSPOMNIENIE POŚMIERTNE).

Tragiczny zgon ś. p. prof. Jana Stanisława Lewińskiego jest bezsprzecznie najcięższą stratą, jaką poniosła polska nauka ekonomiczna w ostatnich czasach. Odszedł w zaświaty wybitny uczony i wielce zasłużony profesor, pogrążając w głębokim smutku tych wszystkich, którym danem było bliżej się z Nim zetknąć. Żal niewymowny ogarnął szerokie sfery społeczeństwa na wieść o nieszczęśliwym wypadku, który skończył się śmiercią tak wielce wartościowego człowieka. Jakże wielkim jest bowiem tragizm tego zgonu, który nagle kładzie kres poważnej pracy naukowej, prowadzonej z olbrzymim zapałem i poświęceniem, i który niespodzianie pozbawia młodzież kształcącą się wytrawnego i oddanego jej przewodnika. Pokaźny zastęp młodych pracowników na niwie gospodarczej, których zmarły profesor przygotował do pracy zawodowej, traci wraz z nim niezastąpionego, światłego doradcę i przyjaciela, chętnie udzielającego pomocy ze źródła swej głębokiej wiedzy.

Ś. p. prof. J. St. Lewiński urodził się w Włocławku w roku 1885. Po ukończeniu gimnazjum realnego w Poznaniu, udał się do Antwerpji na studja w tamtejszej Akademji Handlowej. Po uzyskaniu stopnia Licencié en sciences Commerciales w roku 1904 przeniósł się na Uniwersytet w Brukseli, na którym zdobył stopień doktora nauk ekonomicznych.

Po osiągnięciu gruntownego przygotowania fachowego, ś. p. prof. Lewiński rozpoczyna swą pełną sukcesów pracę naukową. W ciągu kilkunastu lat, do chwili odzyskania przez Polskę Niepodległości, pracuje kolejno w trzech różnych państwach, a w każdem z nich, siłą swych zdolności przełamując olbrzymie trudności lokalne, dochodzi do znaczenia i szacunku.

Od 1906 do 1910 roku pracuje w Instytucie Socjologicznym Solvay'a w Brukseli, gdzie wydaje cenną swą pracę p. t. „L'évolution industrielle de la Belgique". O książce tej Vanderwelde napisał, że „jest jedną z najważniejszych publikacji, jakie w ostatnich latach zostały ogłoszone o życiu gospodarczem Belgji".

Od 1910 do 1914 roku ś. p. prof. Lewiński przebywa w Anglji. W tym czasie prowadzi wykłady w London School of Economics, która jest wydziałem ekonomicznym Uniwersytetu Londyńskiego. Tutaj ogłasza znaną pracę p. t. „The Origin of Property", która doczekała się przekładu na język japoński.

W okresie wojny światowej ś. p. prof. Lewiński zmuszony był służyć w armji niemieckiej. W roku 1918 pracował w sławnym „Institut für Seeverkehr und Weltwirtschaft" w Kilonji. W tym czasie ogłasza szereg cennych rozpraw w czasopismach niemieckich.

Trzykrotna zmiana terenu pracy zawodowej zagranicą, dokonana przez zmarłego uczonego polskiego z pełną swobodą, a zawsze uwieńczona pomyślnemi rezultatami, przyczyniła się do rozszerzenia Jego widnokręgów myślowych i do zadzierzgnięcia silnego związku z nauką zachodnio-europejską. Przez trzykrotną zmianę środowiska pracy, i przez zwalczanie związanych z tem przeszkód, ś. p. prof. Lewiński, jakby intuicją wiedziony, na długie lata przed odzyskaniem Niepodległości przygotowywał się do pracy dla Polski.

W końcu roku 1918 przenosi się na stałe do kraju. Początkowo obejmuje katedrę ekonomji na Uniwersytecie w Lublinie, a później w Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie. Od roku 1922 rozpoczyna wykłady ekonomji w Wyższej Szkole Handlowej w Warszawie, w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego i Szkole Nauk Politycznych i Społecznych w Łodzi. Obok katedry ekonomji prowadzi w Wyższej Szkole Handlowej wykłady bankowości emisyjnej, będąc — zdaje się — pierwszym w Polsce profesorem tego przedmiotu.

Osiadłszy na stałe w Warszawie, ś. p. prof. Lewiński rozpoczął wytężoną pracę naukową. W szybkim czasie dał się poznać jako jeden z najpoważniejszych publicystów ekonomicznych przez swe głęboko przemyślane artykuły, zamieszczane w prasie polskiej codziennej i perjodycznej; był również stałym współpracownikiem czasopism angielskich, francuskich i niemieckich, w których prowadził skuteczną propagandę na rzecz Polski.

Obdarzony darem pięknej wymowy zyskał sobie imię jednego z najbardziej interesujących prelegentów. Szeroko znane były przemówienia i odczyty ś. p. prof. Lewińskiego w Warszawskiem Towarzystwie Ekonomistów i Statystyków, którego był wybitnym działaczem, a ostatnio wice-prezesem.

Szeroki rozgłos zyskał sobie jako autor kilku książek ogłoszonych w ostatnich latach. Dzieło p. t. „Twórcy Ekonomji Politycznej" (The founders of Political Economy) stało się przedmiotem ożywionej polemiki i wyczerpujących recenzji w prasie polskiej i angielskiej, oraz doczekało się także przekładu na język japoński. „Zasady Ekonomji Politycznej" okazały się jednym z najbardziej gruntownie opracowanych i głęboko ujętych podręczników. Praca p. t. „Money, Credit and Prices" wydana w Londynie na krótko przed śmiercią spotkała się

z ogromnie dodatnią oceną fachową i postawiła ś. p. prof. Lewińskiego w rzędzie najbardziej cenionych ekonomistów.

W pracach swoich zmarły profesor okazał się pierwszorzędnym znawcą problemów finansowych i stosunków zachodnio-europejskich. W ostatnich latach ze szczególnem zamiłowaniem oddawał się zagadnieniom monetarnym i w tej dziedzinie stał się wybitnym specjalistą i autorytetem.

Do bardziej znanych prac z zakresu zagadnień pieniężnych, oprócz wspomnianych już książek, zaliczyć należy: „Znaczenie złota w systemie monetarnym" (Ekonomista, 1919 r.), „Deflation, Devaluation und Stabilisierung" (Weltwirtschaftlichen Archiv, 1923 r.), „Pieniądz a ceny"- (Ekonomista, 1928 r.), „Czy istnieje teorja kwantytatywna?" (Ekonomista, 1929 r.), „Powstanie pieniądza" (Ruch Prawniczy i Ekonomiczny, 1930 r.). W końcu 1924 r., na kilka miesięcy przed zachwianiem się kursu złotego polskiego, przestrzegał kraj przed niebezpieczeństwem inflancji bilonowej („Czas", 20/XI. 1924 r.). W pracach swych poświęconych problembm monetarnym okazał się przeciwnikiem teorji ilościowej pieniądza.

W pracach swych- ś. p. prof. Lewiński zwykł był opierać się na rozległych źródłowych materjałach i na gruntownem przestudjowaniu literatury przedmiotu. Wysoko cenił rolę pisarza ekonomicznego i w związku z tem ogłaszał wyłącznie prace o zdecydowanej wartości naukowej.

Był to wyjątkowo szczęśliwy zbieg okoliczności, że ten utalentowany i głęboki uczony był jednocześnie urodzonym profesorem. Pamięć o Jego wykładach pewnie nigdy nie zaginie wśród słuchaczów. Na wykładach tych zmarły profesor promieniował swą wiedzą i zapałem i w niewytłumaczony sposób umiał budzić zamiłowanie do badań ekonomicznych. Poza wykładami potrafił skupiać koło siebie młodzież i wywierać na nią wpływ potężny. Codziennie gdy opuszczał gmach uczelni grono Jego najbliższych słuchaczy odprowadzało Go do samego domu; garnięto się również zewsząd do pracy pod jego kierunkiem, chociaż był bardzo wymagającym. Nie znosił frazeologji i powierzchowności, wymagał w nauce metodyczności i gruntowności. W postępowaniu Jego znać było, że gorąco kochał młodzież i że pragnął się jej wyłącznie poświęcić; był też jednym z najbardziej lubianych przez młodzież profesorów.

Gościnny dom Państwa Lewińskich, w którym bywali najwybitniejsi ekonomiści i finansiści polscy i zagraniczni, stał zawsze otworem dla studjującej młodzieży, która w ten sposób miała łatwy dostęp do swego mistrza. Istniał również zwyczaj, że dawni słuchacze profesora Lewińskiego, którzy ukończyli studja pod Jego kierunkiem, zbierali się u Niego co pewien czas na wieczory dyskusyjne z okazji odbycia przez któregoś z nich bardziej interesującej podróży naukowej, lub odniesienia jakiegoś sukcesu naukowego. Zebrania te na zawsze pozostaną w pamięci uczestników, dzięki ich sympatycznemu i poważnemu nastrojowi, jaki umieli wywołać lubiany profesor i Jego Małżonka, która była najcenniejszą i najbardziej Mu oddaną współpracowniczką naukową.

Zmarły profesor chętnie również poświęcał czas na rozmowy z poszczególnymi swymi słuchaczami; jeden taki wieczór, spędzony na cichej rozmowie z profesorem, miał niekiedy znaczenie kilku miesięcy studjów.

Pełen poświęcenia ś. p. prof. Lewiński nie odmawiał nigdy zaproszeniom, gdy chodziło o szerzenie wiedzy; w związku z tem często opuszczał Warszawę. W pewien znojny dzień czerwcowy, dnia 4.VI. 1930 r., znalazł się w Wilnie, dokąd przybył na zaproszenie Instytutu dla badań naukowych Europy Wschodniej, celem wygłoszenia odczytu. Tutaj śmierć, spowodowana nieszczęśliwym wypadkiem, położyła kres Jego pracowitemu i pełnemu zasług życiu na parę godzin przed terminem wykładu.

Dr. Walery Zbijewski.

JAN STANISŁAW LEWIŃSKI.

POLITYKA KREDYTOWA A POZIOM CEN[1]

Na prośbę Redakcji ś. p. profesor Jan Stanisław Lewiński przygotował dla „Naszego Świata" artykuł p. t. „Polityka Kredytowa a poziom cen". Artykuł ten doręczony po tragicznym wypadku przez rodzinę zmarłego profesora, poniżej zamieszczamy.

Rozpowszechnione jest mniemanie, że banki emisyjne, przy pomocy swej polityki, mogą regulować poziom cen. Licznym teoretykom, jak np. Keynes i Cassel, zdaje się, że kurcząc obieg pieniężny, można spowodować spadek cen, a zwiększając takowy, podnieść je. Stojąc na tem stanowisku, marzą oni o stabilizowaniu cen przy pomocy polityki kredytowej centralnych instytucyj emisyjnych.

Czy pogląd taki jest uzasadniony? Ażeby odpowiedzieć na to pytanie, musimy zbadać, w jakim stopniu banki emisyjne mogą obniżać i w jakim podnosić ceny. Pierwszy problemat zbadamy pod tytułem **deflacji**, drugi pod tytułem **nadmiernej emisji.**

DEFLACJA.

Posiadamy bardzo bogate doświadczenie, które daje nam możność odpowiedzenia na pytanie, w jakim stopniu zmniejszenie obiegu pociąga za sobą obniżenie się cen.

1. Deflacja była stosowana jako środek przywrócenia dawnej wartości walucie zdeprecjonowanej przez inflację. Jest to jedna z metod powrotu do waluty złotej.

2. Banki starały się zatrzymać odpływ złota, przy pomocy restrykcyj kredytowych. Pod tym względem polityka Banku Angielskiego podczas pierwszej połowy ubiegłego stulecia jest bardzo pouczająca.

3. Mamy przykłady, gdy zmniejszenie ilości obiegu nie było wynikiem polityki, lecz było wywołane przyczynami, niezależnemi od zgóry powziętego planu.

Historja reform monetarnych, opartych na deflacji, uczy nas, że wartość obiegu nie podnosi się nigdy proporcjonalnie do zmniejszenia się ilości banknotów, będących w obiegu, W Rosji np. od roku 1817 do 1823 suma pieniędzy papierowych zmniejszona została z 836 do 595 miljonów, czyli o 24,75%, wartość rubla podniosła się w tym samym okresie o 7,25%. W podobny sposób po wojnie tureckiej wycofano 167 miljonów rubli z obiegu bez spowodowania jakiejkolwiekbądź znaczniejszej zmiany w sile nabywczej waluty.

To tłomaczy nam, dlaczego deflacja powoduje zawsze głębokie zaburzenia gospodarcze. Zmniejszony obieg jest niewystarczający w porównaniu ze stosunkowo wysokim poziomem cen. To zmusza często rząd, który starał się podnieść wartość pieniędzy przy pomocy deflacji, do zaprzestania tej polityki (Rosja w roku 1884), albo nawet dopuszczenia z powrotem do obiegu części wycofanych biletów (Czechosłowacja 1919 rok).

Badanie polityki Banku Angielskiego w ciągu pierwszej połowy ubiegłego stulecia wykazuje nam również, że ceny nie dają się tak łatwo obniżać przy pomocy restrykcyj kredytowych, jak to się często przypuszcza. W roku 1839 nieurodzaj spowodował zwyżkę cen i zmusił Anglję do importowania wielkich ilości zboża. To pociągnęło za sobą niebezpieczny odpływ złota. We wrześniu 1838 roku zapas kruszczu w Banku wynosił Ł 9.615.000, w maju 1839 r. spadł do Ł 6.023.000. W tym momencie Bank rozpoczął wycofywanie swoich not i wprowadził daleko idące restrykcje kredytowe, które zmusiły również prowincjonalne banki do zmniejszenia obiegu. W ciągu okresu zaledwie trzech miesięcy, skurczono sumę obiegających banknotów o Ł 1.300.000.

---

[1]) Artykuł ten jest częścią książki: „Money, Credit and Prices" Londyn, 1929 rok. Niektóre wytyczne myśli tej pracy ogłosiłem w Ekonomiście, w artykule, zatytułowanym: „Pieniądz, a ceny". Tom III. 1928 rok.

Pomimo tego jednak odpływ złota trwał z wzmagającą się siłą, zapas kruszczowy spadł do Ł 5.119.000 w czerwcu, a do Ł 2.816.000 we wrześniu, pomimo tego, że w tym okresie Banque de France udzielił Bankowi Angielskiemu pożyczki w sumie Ł 2.500.000 [1]).

Próba obniżenia poziomu cen przy pomocy restrykcyj kredytowych, nie dała pożądanych wyników, nie poprawiła bilansu handlowego i nie powstrzymała odpływu złota. Restrykcje kredytowe miały wręcz odwrotny skutek. Zwiększyły panikę, wywołały wycofywanie depozytów i przyśpieszyły odpływ złota. Skutki restrykcyj kredytowych były tak zgubne, że Bank był zmuszony do zmodyfikowania swej polityki i do bardziej liberalnego dyskonta. Gdy jeden z dyrektorów Banku J. H. Palmer zapytany został przez **Select Committee of Banks of Issne**, dlaczego Bank nie podniósł bardziej stopy dyskontowej, udzielił on następującej odpowiedzi: „Nie wierzę, aby dalsze podniesienie stopy dało dodatnie wyniki pod względem zmniejszenia portfelu wekslowego (securities)... przypuszczam, że spowodowałoby ono niepokój w całym kraju, a ten znowu stałby się przyczyną zwiększonych emisyj". [2])

Inny dyrektor Banku wypowiedział się na ten temat w sposób następujący: „Przypuszczam, że powstałyby w lecie 1839 roku silne zaburzenia, gdyby Bank swoją politykę restrukcyjną bardziej jeszcze zaostrzył". [3])

W roku 1847 polityka restrykcyjna Banku nie zatrzymała zwyżki cen i rozszerzenia się tranzakcyj spekulacyjnych na rynku zbożowym. Komentując ten fakt, pisze Tugan-Baranowski w swej Historji Kryzysów Przemysłowych, „iż sytuacja na rynku pieniężnym wywiera decydujący wpływ na handel tylko wtedy, gdy warunki temu sprzyjają i gdy jednak, jak to miało miejsce w tym okresie, skurczeniu się na rynku pieniężnym, towarzyszy zmniejszenie się podaży, a zwiększenie się popytu na towary, podniesienie się dyskonta nie może zapobiec zwyżce cen i rozwojowi spekulacji na rynku towarowym". [1])

1) James Wilson. Capital, Currency and Banking. Drugie wydanie 1859 rok, str. 49—50.

2) Report 1840, pytanie 1422 i 1423 str. 123.

3) Ib. pytanie 1925, str. 158.

Badaliśmy dotąd skutki zmniejszenia się obiegu, przedsięwziętego w celu obniżenia poziomu cen. Nie mniej interesujące są doświadczenia tam, gdzie część obiegu zniszczona została przez jakąś gwałtowną katastrofę. Dawid Hume przewidział już możliwość takiej sytuacji, gdy postawił sobie pytanie, coby nastąpiło, gdyby w ciągu nocy zniszczono cztery piąte całego obiegu Anglji. Był on przekonany, że ceny spadłyby w takim samym stosunku [2]).

Możemy zbadać indukcyjnie słuszność tego rodzaju twierdzenia. Coś w rodzaju zniszczenia obiegu nastąpiło w Irlandji pod koniec XVIII wieku, gdy z powodu niekorzystnego ukształtowania się kursów z Anglją, prawie cały zapas monet małych, jak i dużych, odpłynął do Anglji. Czy ceny spadły w takim samym stosunku? Bynajmniej. Na miejsce złota zostały wypuszczone przez Bank Irlandzki jednofuntowe banknoty, a cały kraj został zalany biletami o mniejszej wartości, od 9 szylingów do 9,5 pensów, emitowanych nietylko przez banki, ale również przez sklepikarzy, kupców i t. d. [3])

„Jeżeli ludzie" pisze Fullarton, komentując te fakty, „posiadają przedmioty, które chcą wymienić, albo wzamian za kredyt pragną otrzymać towary, nie można zapobiegać tego rodzaju tranzakcjom, odmawiając im pewnego i dogodnego środka. W ten sposób zmuszamy ich tylko do wynalezienia innego mniej odpowiedniego pośrednika". [4])

Potwierdzeniem tego jest odpowiedź dana przez Henry Thornton'a, przed komitetem w roku 1797. Zapytany, jakie mogą być skutki dalszego zmniejszenia emisji banknotów w tym momencie, sformułował on następujący

1 Studien zur Theorie und Geschichte der Handelskrisen in England 1901, str. 111.

2) Of Money w „Essays and Treatises of Several Subjects". Wydanie 1822 r. Tom I, str. 271.

3) John Fullarton — On the Regulation of Currency II wyd. 1845 st. 52 — 53.

4) Ib. str. 49.

pogląd: „Nie mogę sobie wyobrazić, że świat handlowy zgodzi się na tego rodzaju zmniejszenie, bez zastąpienia obiegu banknotów własnemi biletami". Przygotowania do realizacji tego rodzaju projektu, były już wtedy przedsięwzięte przez sfery bankowe [1]).

Pewnego rodzaju paralelą do wypadków, jakie rozegrały się w końcu XVIII wieku w Anglji i Irlandji, są zaburzenia w obiegu pieniężnym Królestwa Kongresowego, w latach 1854—1866. I tutaj prawie wszystkie drobne znaki obiegowe uciekły z kraju. To skurczenie się obiegu nie spowodowało jednak spadku cen, natomiast lukę, jaka powstała, wypełniono prywatnemi kartkami bilonowemi, emitowanemi przez Towarzystwa dobroczynności, Magistraty, Zakłady przemysłowe i t. d. Ciekawy ten okres naszej historji monetarnej przedstawiony został w pracy D. Lewina: „Obieg pieniężny Królestwa Kongresowego". [2])

Nowoczesne doświadczenie do podobnych prowadzi nas wyników. Wiemy, że w krajach, w których deflacja przekroczyła pewien punkt, wartość całego obiegu prawie zupełnie została zniszczona. W Niemczech naprzykład wartość całego obiegu, wyrażona w złocie, spadła w październiku 1923 roku do 147 miljonów marek. Była to pozostałość z obiegu, który przed wojną wynosił przeszło 6 miljardów (monety i banknoty) [3]). Można powiedzieć, że deflacja zniszczyła 97,5% normalnego obiegu. Czy wskutek tego ceny spadły? Wskaźnik cen detalicznych wykazuje, że w przeliczeniu na złoto, były one w końcu 1923 r. o 25% wyższe, aniżeli w r. 1913, gdy obieg był 40 razy większy. Stwierdzamy tutaj to samo zjawisko, które miało miejsce w Irlandji przeszło 120 lat wcześniej. Nie ceny przystosowały się do zmniejszonego obiegu, lecz luka, która powstała, wypełniona została surogatami. Przy pomocy bonów kolejowych, marek rentowych i innych znaków, w krótkim czasie udało się powiększyć obieg do 2,276 miljonów marek złotych (grudzień 1923 roku). Jest rzeczą bardzo charakterystyczną, że w tym okresie gwałtownego zwiększenia się ilości pieniędzy, ceny spadły.

Widzimy z tego, jak błędna jest koncepcja, według której poziom cen jest czemś bardzo elastycznem, wielkością, która przy pomocy polityki kredytowej dowolnie może być manipulowana. Ceny, coprawda, nie są murem kamiennym, który nie daje się poruszyć, lecz również nie są woskiem, który reaguje na każde dotknięcie. Każdej próbie sztucznej regulacji przeciwstawiają one silny opór. Jeżeli nacisk, wywierany na nie, zwiększony jest ponad pewien punkt, nie ceny dostosowują się do zmniejszonego obiegu, lecz wycofane monety lub banknoty, zastąpione zostają przez mniej doskonałe surogaty. Można powiedzieć, że wielkość obiegu jest bardziej elastyczna niż poziom cen. Łatwiej jest dostosować ilość pieniędzy i kredytu do zmienionego poziomu cen, aniżeli regulować ceny przy pomocy środków monetarnych.

Może sposób, w jaki stal stawia opór próbom zgięcia jej, jest najbardziej zbliżoną analogją do reagowania poziomu cen. Porównanie to jest tembardziej uzasadnione, ponieważ łatwiej można wpływać na ceny, gdy temperatura ekonomiczna jest wysoka. Gdy cykl gospodarczy, po okresie spokoju, wkracza w fazę spekulacji i gdy ceny zostały wyśrubowane, łatwo jest stosunkowo je obniżyć przy pomocy restrykcyj kredytowych. Gdy spekulanci wyczerpali swoje fundusze i gdy na rynku kredytowym objawy pewnego niepokoju dają się odczuć, publiczność w silnym stopniu w tranzakcjach swych zależna jest od pomocy banku emisyjnego. Wtedy staje się on czynnikiem decydującym o tem, czy ceny na rynku się utrzymają, czy też spadną.

Odróżnienie między spokojnym a spekulacyjnym stanem rynku, ma dla ustalenia polityki kredytowej pierwszorzędne znaczenie. Zobaczymy dalej, iż niema jednej reguły, która się zawsze daje zastosować. Wrażliwość poziomu cen na interwencję banku zmienia

[1]) Report of the Committee of Secrecy of 1797.

[2]) Odbitka z Rocznika Wyższej Szkoły Handlowej w Warszawie, rok VI, Warszawa 1929, str. 133 do 192.

[3]) League of Nations. Memorandum on Currency 1913 — 1923, str. 108.

się z fazami cyklu gospodarczego. Jedynie w spekulacyjnym stanie rynku, bank, zmuszając przy pomocy restrykcyj kredytowych spekulantów do likwidowania nagromadzonych składów, może spowodować spadek cen. W spokojnym stanie rynku polityka taka wywoła wręcz przeciwne skutki. Podnosząc bowiem stopę dyskontową, która jest częścią składową kosztów produkcji, bank przyczynić się może do zwyżki cen [1]).

ZAGADNIENIE NADMIERNEJ EMISJI.

Widzieliśmy, że wpływ, jaki bank wywrzeć może na obniżenie się cen, jest ograniczony. Czy jest rzeczą łatwiejszą dla banku pchnąć ceny w odwrotnym kierunku? Po doświadczeniach wojennych zdaje się rzeczą niemożliwą, aby można było dać odpowiedź przeczącą na to pytanie. Tutaj jednak należy rozróżnić emisję biletów na cele rządowe i na cele handlowe, oparte na krótkoterminowym kredycie.

Emitując pieniądze papierowe dla celów finansowych, można podnieść ceny do jakiegokolwiekbądź poziomu. Wpływ banknotów, które są emitowane na podstawie kredytu handlowego, jest o wiele bardziej skomplikowany i byłoby błędnem wyciągać z doświadczenia wojennego wniosek, że drogą zwiększonej emisji, bank jest zawsze w stanie wytworzyć zwyżkową tendencję cen.

Na czem polega różnica między emisją pieniędzy papierowych na cele państwowe i banknotów na cele gospodarcze?

W pierwszej linji banknoty z małemi wyjątkami są emitowane wtedy, gdy z łona klientów banku powstaje na nie zapotrzebowanie. Tymczasem emisja państwowych pieniędzy, wtłaczana jest do kanałów obiegu, niezależnie od potrzeb życia gospodarczego.

„Istnieje" pisze Fullarton, „między walutą złotą i państwową — papierową (Goverment paper) — a walutami opartemi na kredycie, ta zasadnicza różnica, iż pierwsze nie są regulowane przez popyt publiczności, podczas gdy drugie zależą wyłącznie od tego popytu". [1])

Po drugie, banknoty są emitowane w formie pożyczki i wobec tego w krótkich i określonych terminach wracać muszą do banku. Osoba, która otrzymuje pieniądze papierowe od rządu, nie bierze na siebie takiego zobowiązania.

Po trzecie, pożyczka dawana przez bank nie jest bezpłatna i wobec tego korzystanie z niej dla dłużnika jest ciężarem, którego pozbyć się może tylko wtedy, gdy zwraca otrzymane banknoty.

Na fakty te, już w roku 1810, zwrócił uwagę Bosanquet w dyskusji z Ricardem [2]), a później, w roku 1844, Fullarton. Opierając się na różnicy, jaka istnieje między emisją państwowych pieniędzy papierowych i banknotów, doszli oni do wniosku, że nadmierna emisja tych ostatnich jest niemożliwa. Gdy na rynku pojawia się większa ilość od tej, jaka jest potrzebna dla normalnego funkcjonowania życia gospodarczego, nadmiar automatycznie powraca do banku. [3])

Słuszność tych wniosków jasno wykazują zmiany sezonowe obiegu banknotów. Zwrócił już na to uwagę Bosanquet, a i my stale możemy obserwować, iż zwiększone emisje w końcu poszczególnych miesięcy, na jesieni i t. d. nie wywołują zwyżki cen, banknoty bowiem, po spełnieniu swych funkcyj obiego-

[1]) Tooke w swej „Inguiry into the Currency Principle" starał się wykazać, jak fałszywy jest „ogólnie przyjęty pogląd, według którego niska stopa procentowa pociąga za sobą zwyżkę, a wysoka, spadek cen" (drugie wydanie 1844, str. 77). „Ogólne obniżenie stopy procentowej" mówi on w innem miejscu, „jest równoznaczne, czyli właściwie stanowi obniżenie kosztów produkcji" (str. 81). „Obniżenie stopy procentowej" pisze on dalej „nie wywołuje koniecznie tendencji w kierunku zwyżki cen towarów, przeciwnie jest ono przyczyną zmniejszonych kosztów produkcji, a wobec tego taniości". (str. 123). Opinja ta jest częściowo potwierdzona przez nowoczesne doświadczenie, patrz odsyłacz 2 na stronie 10.

[1]) On the Regulation s. c. str. 63.

[2]) Practical Observations on the Report of the Bullion Committee.

[3]) Bosanquet pisze, iż kupiec, dla którego płacenie procentów od otrzymanych pożyczek jest ciężarem, niepotrzebne mu banknoty zwraca do banku (Practical Observations str. 59). „Regularny powrót banknotów otrzymanych na podstawie pożyczki" mówi Fullarton „jest pewnem zabezpieczeniem przeciwko ich nadmiarowi. Nie mogą one nigdy ciążyć na rynku". (On the Regulation str. IX i 64).

wych, w krótkim czasie powracają do miejsca emisji.

Ostatnio mogliśmy obserwować, jak zwiększona emisja, wywołana w Japonji z pomocą kredytową banku emisyjnego w czasie kryzysu, spełniła swe zadanie bez wywołania zaburzeń gospodarczych.

Przebieg wypadków ilustruje następująca tablica [1]):

	Obieg miljony jenów	Wskaźnik cen hurtowych
Styczeń 1927	1390	169,6
Luty „	1232	171,4
Marzec „	1284	171,2
Kwiecień „	2037	170,1
Maj „	1388	170,9
Czerwiec „	1422	171,6
Lipiec „	1333	169,8

Widzimy, że zwiększenie obiegu w ciągu miesiąca z 1284 miljonów w marcu, do 2037 w kwietniu, na poziom cen pozostało prawie bez wpływu. Nietylko, że nie wzrósł on w tym okresie, ale przeciwnie, obserwujemy nieznaczny spadek. W maju obieg powrócił już do poziomu z początku roku.

Historja kryzysów wogóle dostarcza nam wielu przykładów, wykazujących, z jaką łatwością wielkie ilości banknotów, wypuszczonych w celu załagodzenia skutków kryzysów w momencie paniki, wracają do banku bez spowodowania ujemnych skutków. [2])

Klasyczne jest doświadczenie Anglji w czasie kryzysu 1825 roku. Bank of England w celu ratowania banków prowincjonalnych od zupełnej ruiny, w momencie kulminacyjnym paniki, przyszedł im z pomocą i zwiększył swój obieg z funtów 17,5 miljonów w listopadzie, do 25,7 w grudniu i do 26,1 w styczniu roku następnego [1]). W tym okresie, indeks cen zmniejszył się ze 117 w ostatnim kwartale

[1]) Leaque of Nations Monthly Bulletin of Statistics za r. 1927.

[2]) Już Bullion Report, opierając się na doświadczeniu w czasie kryzysu 1793 i 1797 roku, podkreślił, że w razie odpływu złota z banku, wywołanego paniką (ineternal drain), liberalna polityka kredytowa jest najbardziej skutecznym środkiem zaradczym. Patrz wydanie raportu przez Cannan'a (The paper Pound 1919) str. 44 i 60.

1825 roku, do 111 w pierwszym kwartale 1826 roku. W ciągu całego roku 1826 spadek cen trwał i indeks doszedł do 101 w ostatnim kwartale. W końcu roku, cała akcja była zlikwidowana, obieg powrócił znowu do poziomu z okresu poprzedzającego kryzys [2]).

— — — — — — — — — —

(W tem miejscu rękopis się urywa. Dalszy ciąg artykułu jest tłómaczeniem części odpowiedniego rozdziału „Money, Credit and Prices", dokonanem przez asystenta ś. p. prof. Jana St. Lewińskiego, p. Józefa Świdrowskiego).

— — — — — — — — — —

Powrót emitowanych banknotów, który możemy stale obserwować w normalnych warunkach, jest dowodem, że tak długo, jak są one wypuszczane na podstawie krótkoterminowych weksli, mechanizm działa w sposób opisany przez Banking School bez wywoływania tendencji inflacyjnych.

Czy jednak nie posiada bank władzy spowodowania nadmiernej emisji banknotów, uskutecznianej przy pomocy zakupu papierów publicznych na rynku? Pod tym względem jest bardzo pouczające doświadczenie Stanów Zjednoczonych, gdzie portfel papierów państwowych (Government securities) w Bankach Rezerwy Federalnej (Federal Reserve Banks), zmienia się co pewien czas, zgodnie z uzasadnionemi decyzjami, powziętemi przez różne Banki Rezerwy Federalnej i Radę Rezerwy Federalnej (Federal Reserve Board). Czy jednak emisja zwiększa się i ceny wzrastają, gdy Banki wzamian za nabyte pożyczki puszczają noty w obieg? Bynajmniej, tak nie jest, zwykle, gdy Banki Rezerwy Federalnej kupują pożyczki, banknoty w ten sposób rzucone na rynek zostają bezpośrednio użyte przez Banki Związkowe (Member Banks) dla zlikwidowania swojego zadłużenia w stosunku do Banków Rezerwy Federalnej

[1]) Report from the Committee of Secrecy of the Bank of England Charter, 1832. Appendix 6 str. 27 i 83.

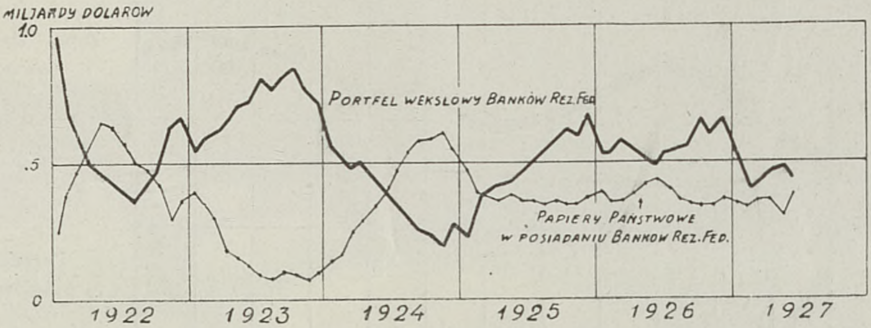
[2]) Silberling. British Prices and Business Cycles. The Review of Economie Statistics. Supplement, October, 1923, str. 232 — 233.

i podobnie, gdy Banki Rezerwy Federalnej sprzedają pożyczki i w ten sposób ściągają pewną ilość banknotów z rynku, Banki Związkowe muszą zwiększyć swoje redyskonto w Bankach Rezerwy Federalnej [1]).

Niżej podany wykres ilustruje to zagadnienie. Kiedy w 1923 r. Banki Rezerwy Federalnej zmniejszyły swoje operacje na wolnym rynku i przez sprzedanie papierów państwowych wycofały pewną ilość banknotów z obiegu, redyskonto natychmiast wzrosło. Kiedy przeciwnie, w r. 1924 Banki Rezerwy Federalnej weszły na drogę czynnej polityki rynku otwartego, kupując papiery państwowe, redyskonto natychmiast zmniejszyło się.

Widzimy, że papiery państwowe i redyskonto, mają tendencję do zmian w odwrotnych kierunkach.

Od drugiej połowy 1926 roku, Bank Francuski był zmuszony kupować olbrzymie sumy dewiz, które przypływały do kraju. Od lipca 1926 roku, do końca czerwca 1927 r., rezerwa złota i dewiz posiadanych przez Bank wzrosła o 13.0 miljardów franków. Wydawałoby się, że odpowiedni wzrost obiegu był nieunikniony. Przeciwnie, widzimy, że obieg w tym okresie spadł z 53.0 miljardów franków, do 52.1. Jak to nieoczekiwane i dziwne zmniejszenie obiegu można wytłumaczyć? Należy zmniejszenie to przypisać tej okoliczności, że okres skupu dewiz przez Bank zbiega się z depresją gospodarczą, wynikłą ze stabilizacji waluty. Życie przemysłowe i handlowe nie mogło wchłonąć miljardów nowych franków papierowych, które były rzucone na rynek i starało się pozbyć



Wypadki we Francji w r. 1926 i 1927 pozwalają nam uczynić równie ciekawe spostrzeżenie. Liczby podane niżej dają nam możność poznania się z mechanizmem obiegowym.

Banque de France:

	Złoto i dewizy[2])	Obieg miljardy franków	Kredyty udzielone rządowi przez bank
1 lipca 1926 r.	19.8	53.0	37.3
31 grudnia 1926 r.	27.2	52 9	36.2
30 czerwca 1727 r.	32.8	52.1	27.0

tej olbrzymiej masy banknotów, dla których nie było użycia produkcyjnego.

System rachunków bieżących, od których Skarb Francuski płacił procenty i nabywanie Bonów Obrony Narodowej, pochłonęło nadmiar emitowanych banknotów. Skarb użył ich dla zmniejszenia w Banku Francuskim swego długu, który w omawianym okresie zmniejszył się o 10.3 miljardów franków (z 37.3 do 27.0). Ta suma równa jest prawie wzrostowi zapasu złota i dewiz. W ten sposób wielka suma franków papierowych, wtłoczona do obiegu wzamian za nabyte dewizy, nie pociągnęła za sobą zwyżki cen i nie wywołała ożywienia gospodarczego. Ponieważ nie było możności użycia produkcyjnego banknotów, powróciły one szybko do Banku przez kanał Skarbu.

Końcowym rezultatem tych operacyj, dokonywanych przez Bank Francuski, było zastąpienie pożyczek państwowych przez dewi-

---

[1]) W. Randolf Burgess. The Money Market in 1926. The Review of Economic Statistics, styczeń 1927 (Harvard Economic Service), str. 15—16. Jest rzeczą interesującą nadmienić, że już o wiele wcześniej Fullarton przewidywał, jakie muszą być konsekwencje nabycia przez bank papierów państwowych.

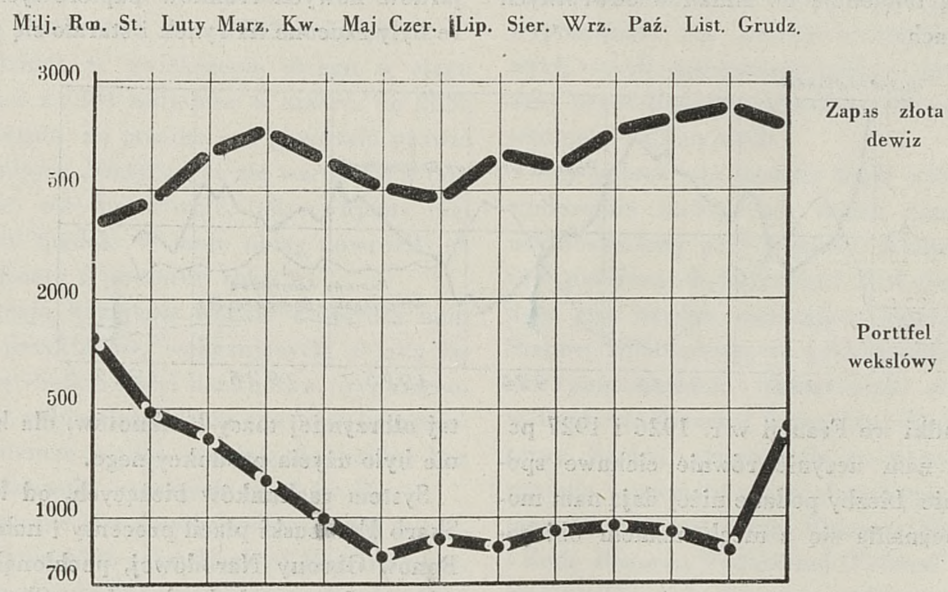
[2]) Bez złota i dewiz, zawartych w rachunku „Różne" i bez złota posiadanego zagranicą.

zy. Aktywa Banku uległy zmianie, co jednak nie odbiło się na wielkości obiegu banknotów [1]).

W Niemczech, podobnie jak we Francji, wielki przypływ walut, który miał miejsce w r. 1926, nie wywołał skutków inflacyjnych. Wzrost rezerw Reichsbanku, stwarzający płynność na rynku, uniezależnił w znacznym stopniu życie gospodarcze od kredytów Banku. Na skutek tego faktu zmniejszyło się redyskonto. Te zmiany rezerwy i redyskonta w przeciwnych kierunkach ilustruje niżej podany wykres.

ny nie jest podporządkowany celom państwowym, lecz działa jako instytucja emitująca banknoty na podstawie krótkoterminowych weksli handlowych, wywołanie inflacji jest rzeczą o wiele trudniejszą, niż to się ogólnie wydaje. Życie gospodarcze jest wyposażone w dostateczne środki, chroniące ten mechanizm przed popsuciem.

Widzimy, że w zdrowych warunkach pieniężnych, organizm gospodarczy zachowuje tylko taką ilość banknotów, jaką może wchłonąć bez szkodliwych skutków. Każda próba zwiększenia obiegu banknotów ponad tę ilość,



Według Verwaltungsbericht der Reichsbank für das Jahr 1926, str. 7.

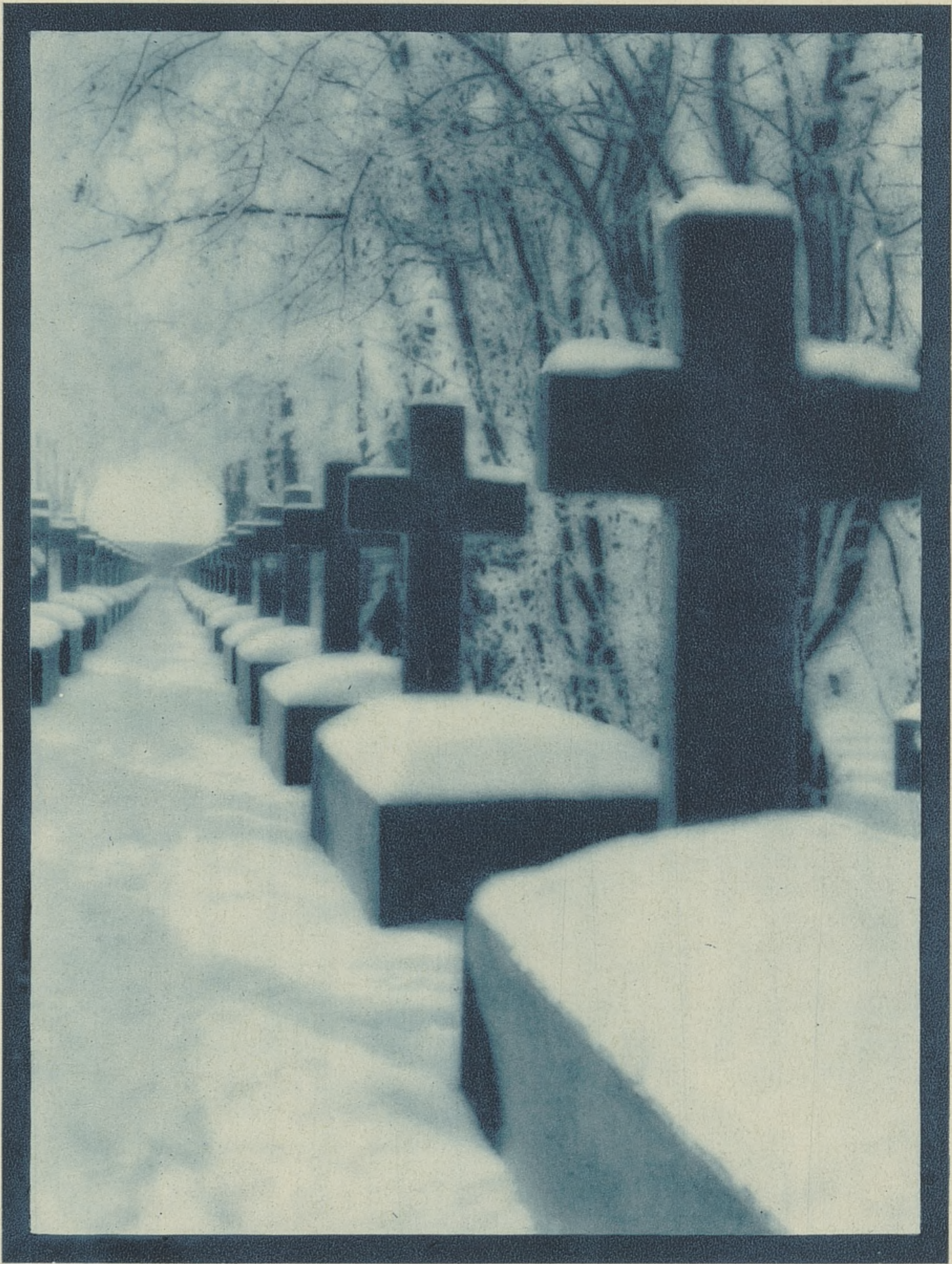
Jest rzeczą bardzo charakterystyczną, że w okresie największego przypływu walut zagranicznych do Niemiec od r. 1924 do r. 1926, wskaźnik cen spadł ze 142 w styczniu 1924 roku do 133 w październiku 1926 r. To wykazuje jasno, że tak długo, jak bank emisyj-

spotyka się z oporem. Zbyteczne noty powracają do banku, co zapobiega wywieraniu przez nie wpływu na ceny.

To twierdzenie jest tylko wtedy słuszne, gdy rynek jest w stanie zupełnego spokoju. Jeśli daje się wyczuwać tendencja spekulacyjna, jeśli producenci i handlujący są przekonani o możności osiągnięcia zysku przez wstrzymanie się od sprzedaży towarów, wówczas każda ilość banknotów, która umożliwia im

---

[1]) Leo Pasvolsky, British Gold and Bank of France Policy. Annalist July, 29, 1927, str. 172.



Fot. kol. Zygmunt Szporek, Warszawa.

„ALEJA UMARŁYCH"

zgromadzenie zapasów, jest wchłonięta przez organizm gospodarczy. W takim momencie, w znacznym stopniu od polityki banku emisyjnego zależy wysokość, do jakiej wzrosną ceny. Przez liberalną politykę kredytową może być przedłużone trwanie spekulacji, a przez restrykcje kredytowe można dosyć wcześnie przeszkodzić dalszej zwyżce cen [1]).

CZY BANK JEST CZYNNIKIEM AKTYWNYM CZY TEŻ PASYWNYM?

Z tego, co było powiedziane, wynika, że uwzględniając tylko zmniejszanie lub zwiększanie obiegu, bank, wyłączając spekulacyjny stan rynku, jest **„czynnikiem pasywnym**, kierowanym przez okoliczności, które określają wielkość potrzebnego obiegu, a nie **czynnikiem aktywnym**, który o nim decyduje". W ten sposób już przed 80 laty James Wilson skrytykował w the Economist pomieszanie poglądów, wysuniętych przez Currency School, która przypisywała bankowi możność określania poziomu cen. [2])

Ta bierna rola banków jest potwierdzona przez nowoczesnych pisarzy, którzy mieli możność zbliska obserwować funkcjonowanie mechanizmu kredytowego. „Banki nie stwarzają ogólnych warunków", mówi W. P. G. Harding, gubernator Rady Rezerwy Federalnej, „lecz same muszą się dostosować do zmienionych warunków, które w niedawnych, pełnych wydarzeń latach, były wywołane przez niewidziane i nieprzezwyciężone siły, na całym świecie". [3])

I po tej stronie Atlantyku niedawno zmarły autor Walter Leaf dochodzi do podobnego wniosku. „Banki winny tylko podążać", mówi on, „za tendencjami handlu i produkcji, one nie mają sposobu ich kontrolowania. One są sługami, a nie tyranami przemysłu". [1])

Ceny nie są określane przez politykę bankową, lecz przeciwnie, one właśnie rządzą sumą emitowanych not. To jest stara zasada, sformułowana już dawno przez Tooke'a, że „ceny towarów nie zależą od ilości pieniędzy, wyrażonych sumą banknotów, ani od całej sumy środków pośredniczących przy wymianie, lecz, że przeciwnie, suma obiegających środków, pośredniczących przy wymianie, jest wynikiem cen. [2]) I odnośnie do faktycznego stanu rzeczy i z punktu widzenia historycznego, mówi tenże autor: „w każdym badanym przezemnie wypadku, zniżka lub zwyżka cen poprzedzała skurczenie lub powiększenie obiegu i dlatego nie mogła być skutkiem zmniejszenia lub zwiększenia obiegu banknotów". [3])

Czynniki, wpływające na zmiany cen, są poza sferą wpływów banków centralnych. Zwyżka cen dokonywuje się zawsze w pierwszej fazie, bez uciekania się do kredytów bankowych. Zwiększony popyt na towary powstaje przy pomocy kredytów książkowych, weksli i t. p. Tooke daje godne uwagi przykłady, obrazujące olbrzymią siłę nabywczą, która może być stworzona, i zwyżkę cen, która może być dokonana przy pomocy kredytu niereprezentowanego przez banknoty. Tak np. olbrzymie tranzakcje spekulacyjne, przy użyciu małego kapitału, lub bez jego użycia, były dokonywane w 1839 i 1840 roku, to jest w czasie wielkiej ciasnoty na rynku pieniężnym. [4])

Potwierdzenie tej niezależności ekspansji kredytowej znajdujemy w „Dziesiątym rocznym raporcie Federal Reserve Board". „Za-

---

[1]) Zobacz Mill'a, Zasady ekonomji politycznej, księga III, rozdział XXIV, § 2, gdzie jest rozpatrywana możność nadmiernej emisji w stanie rynku spokojnym i wyczekującym albo spekulacyjnym.

[2]) Artykuł ten był ogłoszony w the Economist, 12 kwietnia 1845 r. i był przedrukowany w „Capital, Currency and Banking", op. cit. str. 47.

[3]) W. P. G. Harding, Credit, Currency and Business str. 20.

[1]) Banking, op. cit. str. 104—105.

[2]) An Inquiry into the Currency Principle op. cit. str. 23.

[3]) Raport przed Komisją Tajną, 1832, op. cit., pytanie 5449.

[4]) Inquiry op. cit. str. 79 i 136—8. Również te przykłady podaje Mill. Zasady op. cit. księga III, roz. XXIV, § 5.

potrzebowanie kredytu jest zależne", mówi raport, „od widoków stanu interesów, kredyt jest wytwarzany w ilościach wzrastających tylko wtedy, gdy ogół chce korzystać z większego kredytu, gdy sposobność zastosowania kredytu wydaje się korzystniejszą. Czasami biorący pożyczkę chcieliby zaciągnąć jeszcze większą, a czasami zadowolą się mniejszą. Dlaczego tak jest, to zależy od wszystkich tych licznych warunków i okoliczności, które wpływają na usposobienie świata handlowego. W większości wypadków te warunki znajdują się poza sferą wpływów Banków Rezerwy Federalnej". [1])

Dopiero po zwyżce cen, wywołanej przez rozszerzenie różnych form kredytu, fala zwyżkowa dochodzi do banków emisyjnych. Wówczas istniejący wzrost obiegu banknotów nie wywołuje zwyżkowych tendencyj cen, lecz jest tylko wynikiem faktu dokonanego.

Jeśli bank chciałby przeciwstawić się temu ruchowi przez restrykcje kredytowe, lub przez wysoką stopę dyskontową we wczesnym momencie ożywienia, nie powiodłoby się jemu to zamierzenie. Mieliśmy sposobność obserwowania kilkakrotnie po wojnie, że wysoka stopa dyskontowa nie zapobiegała ekspansji kredytowej. „Procesy kredytowe, które ostatecznie dają początek przyznaniu kredytów przez bank związkowy", mówi Dziesiąty roczny raport Rady Rezerwy Federalnej, „biorą swój początek w planach i decyzjach klijentów banku. Ruch kredytów w dowolnym czasie, a szczególnie w czasie ekspansji kredytowej posiada rozpęd, który nie może być natychmiast zahamowany i gdy ekspansja w dalszym ciągu postępuje, zmierza do nabrania rozpędu przy zwyżkującej stopie. Potrzeba przeto pewnego czasu, by można było zauważyć skutki podniesionej stopy dyskontowej, w zmienionych operacjach pożyczkowych banków". [2]) Możemy dorzucić, że zwyżka stopy dyskontowej nie wywołuje żadnego skutku w chwili, kiedy przewidywania świata handlowego są bardzo optymistyczne i ekspansja jest w pierwszej fazie. [1])

Widzieliśmy, że, jeśli bank emisyjny usiłuje w chwili, gdy ceny spadają, wywołać ruch przeciwny przez rozszerzenie kredytu i przez sztuczne obniżenie stopy dyskontowej, wówczas jego zamierzenia nie udają się. Banknoty, puszczone w obieg, powracają szybko do banku bez wywarcia wpływu na ceny. „Od banku może zależeć emisja", mówi Fullarton, „lecz wielkość obiegu jest zależna od jego ogólnego użycia; bez współdziałania równoczesnego ogółu i możność i chęć emisji pozostają bez znaczenia". [2])

W historji Stanów Zjednoczonych ostatniej doby znajdujemy nowe potwierdzenie tezy, że, kiedy tendencja cen na rynku jest spadkowa, polityka banków jest bezsilna wobec tej tendencji. W ciągu ostatnich lat obserwujemy w Stanach Zjednoczonych brak paralelizmu między zwiększeniem depozytów bankowych, a cenami towarów. W ciągu lat 8 (1919—1927) suma depozytów wzrosła o 14.818 miljonów dolarów, gdy wskaźnik cen hurtowych w tym czasie spadł ze 100 w r. 1919 do 71.2 w 1927 r. [3]) Jak te zaszłe w przeciwnych kierunkach zmiany wzrostu siły nabywczej stworzonej przez banki i spadku cen można wytłumaczyć? Należy to przypisać powstrzymywaniu się od zawierania tranzakcyj na rynku towarowym, powstrzymywaniu, wynikającemu z tej okoliczności, że mogły być dokonywane korzystniejsze ope-

---

1) Report for the Year 1923, str. 31.

2) str. 4 i 5.

1) Ostatnio Józef Stagg Lawrence wykazał, jak mało teorja stopy bankowej odnośnie do kontroli nad cenami, głosząca o odwrotnej zależności między stopą dyskontową a poziomem cen, jest potwierdzona przez fakty. W Wielkiej Brytanji 51 zmian na 82 wykazują równoległe zmiany poziomu cen i stopy dyskontowej, podczas gdy 23 wypadki potwierdzają teorję klasyczną. Francja i Niemcy nie potwierdzają teorji, że stopa dyskontowa jest narzędziem, przy pomocy którego banki centralne mogą sprawować kontrolę nad cenami. Stabilization of Prices. 1928, str 426 i 429.

2) Regulation, op. cit. str. 87.

3) Uzupełnienie to zostało wzięte ze strony 19 „Money, Credit and Prices", ś. p. profesora Lewińskiego dla uzupełnienia myśli.

racje w innej dziedzinie, a mianowicie, częściowo dzięki niskiej cenie nieruchomości i w większym stopniu, dzięki sytuacji na rynkach zagranicznych, gdzie kredyt był drogi, a oszczędność konieczna. „Te lata“, mówi W. R. Burgess, „**uwydatniły w sposób intresujący twierdzenie, że hurtowe ceny towarów bardziej zależą od światowych warunków, niż od krajowych**“. [1])

Powyższe rozważania wykazują w sposób bardzo przekonywujący, jak fałszywa jest koncepcja, która uważa zmiany cen, jako wynik zarządzeń, powziętych przez bank emisyjny.

Tylko wtedy bank, zamiast pozostania czynnikiem pasywnym, staje się aktywnym, gdy proces ekspansji przekroczył granice, które dzielą rynek w stanie spokojnym, od rynku w stanie spekulacyjnym. Kiedy gorączka spekulacyjna osiągnęła pewien stopień, wpływ banku może być wywarty skutecznie.

Dlaczego naprzykład restrykcyjna polityka Reichsbanku w r. 1923 wywarła pożądany wpływ na ceny? Tylko dlatego, że oczekiwaniu zwyżki cen, zostały przygotowane przez spekulantów, w ciągu poprzednich miesięcy, olbrzymie zapasy towarów i olbrzymie sumy dewiz. Przez odmowę prolongowania kredytów, dr. Schacht zmusił do likwidacji tych zapasów i hurtowy wskaźnik cen spadł ze 124 w kwietniu, do 115 w lipcu.

Jeśliby polityka restrykcyjna była stosowana w innych warunkach, kiedy stan rynku był mniej spekulacyjny, jej skutek byłby zupełnie inny. Później, gdy nowe środki były zastosowane, rynkowa stopa procentowa wzrosła od 30 do 45%. [2]) Likwidacja nagromadzonych zapasów towarów i walut, ostatecznie wywołała spadek stopy procentowej. Jeśliby jednakże te zapasy nie istniały, wysoka stopa procentowa, przez zwiększenie kosztów produkcji, ostatecznie pociągnęłaby za sobą zwyżkę poziomu cen.

---

[1]) The reserve Banks, op. cit. str. 250—251.

[2]) Tem zagadnieniem zajmuje się prezes Hjalmar Schacht w swej pracy „Die Stabilisierung der Mark“, 1927, rozdział VI, Von der Währungskrise zur Witschaftskrise, str. 113—124.

WSKAZANIA POLITYKI KREDYTOWEJ.

Widzieliśmy, że skuteczność polityki kredytowej zależy od momentu działania. Zastosowana w nieodpowiednim momencie, nie wywiera ona pożądanego wpływu na poziom cen, przeciwnie, wywołuje w życiu gospodarczem zaburzenia. Nie należy zapominać, że mechanizm cen odgrywa wielką rolę w dostosowaniu produkcji do popytu. Zwyżka cen zachęca producenta do zwiększenia produkcji, spadek ostrzega go, że już jest zbyt wiele towarów na rynku. W ten sposób, przy stosunkowo małem tarciu, zakłócona równowaga między popytem i podażą jest przywrócona. Organizm gospodarczy, oparty na wolnej konkurencji jednostek, nie mógłby spełniać swych zadań, jeśliby wahadło zmiany cen było zatrzymane.

I bank emisyjny nie powinien tak długo wywierać wpływu na ten mechanizm, jak długo on spełnia swą rolę ekonomicznie uzasadnioną. Co jest cechą charakterystyczną dobrego funkcjonowania mechanizmu kredytowego? „Ona przejawia się“, mówi Dziesiąty roczny raport Rady Rezerwy Federalnej, „w gładkim, nietamowanym ruchu towarów od producenta, poprzez kanały rozdziału, aż do różnych ostatecznych form zużycia“ (34). Kredyt jest właściwie użyty, kiedy nie ma charakteru spekulacyjnego, to znaczy, gdy jest udzielony dla finansowania ruchu towarów, poprzez jedno z następujących po sobie stadjów produkcji i rozdziału, aż do spożycia. Kredyt jest spekulacyjny, gdy „użyty jest do zahamowania lub zwłoki w ruchu towarów od producenta do konsumenta“.

Dopóki zapotrzebowanie na kredyt wynika z potrzeb obrotowych rolnictwa, przemysłu, lub handlu, jest on ekonomicznie uzasadniony i niema racji stosowania środków restrykcyjnych, nawet jeśli ceny rosną. Moment działania zjawia się wówczas, kiedy kredyt jest użyty nieprodukcyjnie, kiedy prowadzi do „niewłaściwego dostosowania produkcji i konsumcji, wpływa na ceny i pociąga za sobą inne zaburzenia gospodarcze“ [1]).

---

[1]) Report for 1923, op. cit. str. 34—35.

Widzieliśmy już wyżej, że, gdy sytuacja rynkowa zmienia się, gdy rynek ze stanu spokojnego przechodzi w stan spekulacyjny, bank z czysto pasywnego czynnika, staje się czynnikiem aktywnym, który przez swą politykę może spowodować dalsze podniesienie się cen, albo zatrzymać ich wzrost w odpowiednim momencie. Wywieranie tego wpływu należy do najważniejszych obowiązków banku.

Z powyższych rozważań wynika, jak wielkie znaczenie dla zdrowej polityki kredytowej ma ta okoliczność, żeby bank mógł odróżnić spokojny stan rynku, od spekulacyjnego. W tym względzie, doświadczenie Stanów Zjednoczonych po wojnie, przyczyniło się bardzo do pogłębienia znajomości tych procesów.

Charakterystycznym objawem spekulacji jest nagromadzenie zapasów. Informacje, dotyczące zapasów, przejścia towarów do rąk ostatnich nabywców, szybkości, z jaką towary posuwają się przez pośrednie kanały rozdziału, zebrane przez Federal Reserve Board i regularnie ogłaszane, dostarczają o wiele lepszych, podstawowych wiadomości, potrzebnych dla kierownictwa banku, niż te, któremi one rozporządzały dotychczas.

Czy nie jest rzeczą możliwą rozwiązanie przy pomocy takich szczegółowych informacyj, całego zagadnienia polityki kredytowej, przez stosowanie prostej formuły i zastąpienie ludzkiej oceny przez jakieś automatyczne wskazania? Wśród zwolenników obiegu regulowanego (managed currency) jest wielu, którzy wypowiadają się za takim automatycznym mechanizmem, działającym odpowiednio do zmian cen. Federal Reserve Board odrzuca te projekty. Raport kładzie nacisk na fakt, że jest rzeczą niemożliwą „ująć w prostą jakąś formułę elementy oceny, dające się zastosować do zmieniających się sytuacyj kredytowych w chwili ich powstawania... Żadna statystyczna analiza nie może nigdy zastąpić oceny w dziedzinie polityki kredytowej“ [1]).

Interesującą rzeczą jest zaznaczyć, że ta sama różnica zdań, jaką obserwujemy w nowoczesnej dyskusji na temat polityki kredytowej, istniała już przed 80 laty, kiedy problem nowej ustawy Banku Angielskiego był przedmiotem zainteresowania publicznego. Currency School była przekonana, że tylko automatyczny mechanizm może stworzyć zdrowe podstawy dla zadawalającego funkcjonowania banku emisyjnego. Była ona przekonana, że, biorąc za wskazania polityki bankowej, ruchy złota, można było uniezależnić się w polityce emisyjnej od ludzkich sądów. Fullarton przeciwnie, widzi, że żadne automatyczne wskazania nie mogą wykonać delikatnych i ciężkich obowiązków kierownictwa banku.

Cechą charakterystyczną głębokiego zrozumienia przez Fullartona skomplikowanych procesów polityki kredytowej jest to, że, zarówno w tym względzie jak i w wielu innych, jego poglądy są całkowicie zgodne z poglądami wyrażonemi przez Federal Reserve Board.

---

[1]) Report for 1923, str. 36.

TADEUSZ SŁOMKA.

KILKA UWAG O PROWADZENIU KASY ODDZIAŁOWEJ.

Aktualne i na miejscu są obecnie zagadnienia dotyczące jaknajsprawniejszego załatwiania czynności bankowych przez pracowników, celem wyrobienia sobie i dobrej opinji na zewnątrz i wcześniejszego zakończania dnia pracy. Wiele również poczyniono już udogodnień i uproszczeń w tym kierunku, lecz pominięto milczeniem, albo też przeoczono możliwość przeprowadzenia pożądanej reformy w czynnościach kasy, najpoważniejsze-

go bądźcobądź wydziału na terenie organizacji bankowości, jak stwierdzają wstępne słowa instrukcji służbowej, części V-tej.

Dosłowne znaczenie istoty kasy kojarzy się z pojęciem przypływu i odpływu, czy też fachowo wyrażając się, przychodu i rozchodu samej gotówki. Tymczasem wskutek wprowadzenia między Oddziałami a Centralą Księgowością, t. zw. raportu kasowego z czynności dziennych każdego Oddziału, wkradła się pewna nieścisłość w interpretowaniu, czy kasjer może odstąpić od zasady przeprowadzania przez rachunki kasowe zaszłości memorjałowych, niemających nic wspólnego z gotówką, natomiast księgować tylko same czysto gotówkowe zaszłości lub też nie. Napozór wydawałoby się, że księgowanie przez kasjera wszystkich zaszłości, jakie w danym dniu, w obrębie Oddziału zachodziły, jest nieodzowne, bo daje możność sprawdzenia a raczej porównania poszczególnych pozycyj z dziennikiem kasowym i ze sztracą.

W tym jednak wypadku stanąć należałoby na innem stanowisku, mianowicie poprzeć tendencję usunięcia z kasy zaszłości memorjałowych. Pominięcie bowiem księgowości na r-kach kasy dziennej pozycyj memorjałowych pociąga za sobą przewagę stron dodatnich, a wcale lub bardzo znikomą ilość przyczyn ujemnych. Skoro rozważymy techniczną część prowadzenia kasy, spostrzeżemy, że obciążenie kasjera balastem, że się tak wyrazimy, nie wchodzących w zakres jego działania, czynności pośredniczenia między poszczególnemi wydziałami (Instr. służ., część II, str. 49 ad c,) lub też mechanicznego zapisywania niewypłaconych ani też podjętych kwot zaszłości memorjałowych oraz pamiętania o nich i często dopominania się o podanie ich sum, powoduje nietylko przedłużanie czynności kasy, w najlepszym wypadku — conajmniej o pół godziny dziennie, co fatalnie odczuwa się przy jej uzgodnieniu, ale zarazem wprawia samego kasjera w powien stan roztargnienia, niesprzya wcale lub bardzo znikomą ilość skutków jający spokojnemu, uprzejmemu obejściu się z klijentem i załatwieniu jego spraw.

Przez księgowanie na r-kach kasowych pozycyj czysto gotówkowych przyśpieszy się, w pierwszym rzędzie, zestawienie stanu gotówki i uzgodnienie salda, które następnie dla porównania podane zostanie pracownikom piszącym dziennik i prowadzącym sztracę. Pozycje bowiem tak przychodowe, jak i rozchodowe, zredukowane o zaszłości memorjałowe, dają możność, już w niespełna godzinę po zamknięciu kasy, sprawdzić, na podstawie zasad dotychczasowych, jej zgodność.

Gdyby jednak zaszła pomyłka w prowadzeniu kasy w formie nadwyżki lub niedoboru, to wówczas różnica ta musi okazać się równą różnicy powstałej między saldem z dziennika kasowego i sztracy, a saldem podanem przez kasjera. Natomiast w dniach bezbłędnego prowadzenia kasy zgodność salda gotówki nietylko jest rękojmią jej zgodności, ale również w razie różnicy sald kasjera a uzyskanego z dziennika kasowego jest wskaźnikiem, że błąd wkradł się do zaszłości rozliczeniowych, memorjałowych. Na powyższych choćby wywodach widzimy, że na tak nikłym napozór uproszczeniu, nie księgowania w kasie zaszłości memorjałowych, uzyskać można podwójny cel: wcześniejsze uzgodnienie kasy i wzajemną kontrolę.

Często bowiem zdarzają się wypadki, że błąd tkwi właśnie w zaszłościach rozliczeniowych. Weźmy, naprzykład, pod uwagę nieuzgodniony należycie arkusz płatniczy żyrowy. Sprawdzający jego zgodność przeoczy znajdujący się w nim błąd, co nieraz w Oddziałach się przytrafiło. Również i pracownik prowadzący sztracę nie zauważy jego i taki arkusz dostaje się do rąk piszącego dziennik albo też i do rąk kasjera, których zadaniem jest tylko mechaniczne zaksięgowanie jego pozycyj. A wtedy salda kasy, dziennika i sztracy są równe, ale uzgodnienie to jest fikcyjne, bo w nim tai się ukryty błąd. Następstwem zaś tego drażliwe, niesłuszne, niepotrzebne i fikcyjne nadwyżki i niedobory kasowe. Wprawdzie w fatalnych dniach pomyłek przerzuca się powtórnie załączniki kasowe, lecz trzeba mieć wówczas, śmiało rzec można, szczęście, by właśnie szukać tego błędu na tymże

arkuszu i nie przeoczyć go wskutek zdenerwowania lub nawet przeświadczenia, że tenże i tak był dokładnie sprawdzony, albo wreszcie nie ulec złudzeniu, że nadmiar względnie niedobór był następstwem pomyłki w prowadzeniu kasy.

To samo dotyczy podawanych do kasy dla zaksięgowania przychodowych i rozchodowych sum zastępstw. Mianowicie zdarza się, że albo kwota weksla zwróconego z protestem nie została od ogólnego stanu weksli zainkasowanych potrącona, lub też nie uznano zastępstwa za przesłane waluty, kupony i inne wartości. Dodać wypada, że aby kasjer miał zupełną pewność, czy kwoty zastępstw są zgodne z rzeczywistością, należałoby, by wszelkie dowody i korespondencję zachodzącą między Oddziałem a odpowiedniemi zastępstwami otrzymywał do rąk i na podstawie ich robił zestawienia szczegółowe odnośnych pozycyj, przez co stałby się niejako sprawdzającym sprawdzających, co znów absorbowałoby moc czasu i przyczyniałoby się, jak już wspomnieliśmy, do rozproszenia jego uwagi i umysłu w innym kierunku niż to być powinno. Nieinaczej przedstawia się sprawa weksli, które nie były przez kasjera zainkasowane (weksle z protestem, weksle zaprotestowane, zwroty na żądanie i t. p.). Prawda, że w omawianych wypadkach polega kasjer w większej mierze na zaufaniu koleżeńskiem (np. gdy chodzi o kwoty zastępstw), lecz i to prawda, że mimo nawet największej ostrożności mogą zajść pomyłki, które powodują przykre następstwa.

Ponieważ pracownik, prowadzący kasę, odpowiada wyłącznie sam za straty, wynikające z błędnego załatwiania czynności kasowych, przeto nie jest, że tak powiemy, wskazane aby przez księgowanie pozycyj, niewchodzących bezpośrednio w jego zakres pracy, mógł być choćby całkiem przypadkowo wystawiony na stratę tak materjalną jak i moralną.

Podczas zastanawiania się nad udogodnieniem prowadzenia kasy, uderzyła mnie pewna nieścisłość w zredagowaniu przeczytanego ustępu Instr. służ. część V, str. 65, traktującego o zapisywaniu gotówki, wysyłanej do kas skarbowych, w podręcznej książce kasowej w przychodzie, jako otrzymany ze skarbca zasiłek kasowy, natomiast w rozchodzie, jako wypłatę żyrowego czeku dyspozycyjnego. Dotacje zaś pieniężne, odsyłane do innych Oddziałów, a nadmiary i destrukty do Skarbca Emisyjnego, przeprowadzają skarbnicy bezpośrednio w książce zapasu biletów i bilonu. Innemi słowy, jak można z powyższego wywnioskować, instrukcja niejako przewiduje, lub ściśle wyrażając się, poddaje myśl nieprzeprowadzania przez kasę nawet pozycyj gotówkowych, mimo, że one w dzienniku kasowym, jako pozycje — banknoty w drodze do... — lub — bilon w drodze do... — figurują, kierując się, jak wolno przypuszczać, słusznem zapatrywaniem, że wymienione wyżej pieniądze przez ręce kasjera nie przeszły. Tem bardziej więc poniechanie, choćby z tych samych względów, przeprowadzania przez r-ki kasowe zaszłości memorjałowych staje się niezbędne i pożądane.

Z przytoczonych dotąd uwag wypływa konieczność zastosowania omawianej inowacji, natury praktycznej, w prowadzeniu kasy, w niczem niewchodzącej w kolizję z najbardziej postępową organizacją technicznej strony pracy bankowej.

Jedyną trudnością, z jaką na tej drodze spotkać się wypadnie jest kwestja zmodyfikowania dotychczasowego sposobu księgowania w Centralnej Księgowości, a mianowicie wprowadzenie podziału na zaszłości czysto gotówkowe oraz memorjałowe. Dostosowanie księgowania do zmienionego podziału przyczyniłoby się, o ile wolno przypuszczać, do jaśniejszego i przenikliwszego wglądu na całokształt operacyj bankowych, dałoby sposobność zaobserwowania ruchu gotówkowego oraz umożliwiłoby na podstawie obrotów czysto gotówkowych bezpośrednie uzgodnienie ogólnego salda gotówki, co zarazem stanowiłoby już kontrolę nad pozycjami memorjałowemi.

Przytoczony jednak podział pociągnąłby za sobą niejedną zmianę (inne ujęcie raportu, świeże druki), z któremi liczyć się trzeba i których gwałtownie, bez szkody na wypróbowaną dotąd sprawność, nie można przepro-

wadzić. Dlatego narazie jedyną drogą wyjścia byłoby zezwolenie dane Oddziałom na prowadzenie u siebie, tylko wewnętrznie, sposobu przeprowadzenia przez kasę pozycyj tylko czysto gotówkowych oraz uzgadnianie tychże z poszczególnemi wydziałami.

Rzucając zatem garstkę refleksyj dotyczących udogodnień w prowadzeniu kasy dziennej, pragnę za pośrednictwem naszego organu prasowego podzielić się niemi z ogółem Szanownych Kolegów i zwrócić się do Nich z gorącym apelem o liczne i otwarte wypowiadanie się w tej kwestji na łamach Naszego Światu.

Dostojne Władze zaś ośmielę się prosić o łeskawe zainteresowanie się tak powyższemi wywodami, jak i mogącą nastąpić dyskusją oraz o zajęcie przychylnego stanowiska w kierunku wcielenia w życie projektowanego uproszczenia.

ZBIGNIEW KLISZEWSKI.

KWESTJA ZAWIERANIA TRAKTATÓW HANDLOWYCH PZEZ POLSKĘ.

W ostatnich czasach, na podłożu nieporozumień istniejących między władzą prawodawczą, a wykonawczą w Polsce, wynikły kwestje zawierania prawomocnych traktatów handlowych. Przechodząc ponad genezą zadrażnień, jakie wynikają stale, do porządku dziennego, sprobujmy zbadać tę bardzo ważną kwestję czysto naukowo, oczywiście w miarę naszych sił i możności.

Wiemy, że od czasu odzyskania niepodległości, Polska miała anormalne warunki przy negocjacjach na temat traktatów handlowych, które są jednemi z naczelnych zadań każdego samodzielnego państwa. Dewizą w tych sprawach jest uregulowanie stosunków przedewszystkiem z tym sąsiadem, z którym łączą konieczne, ciągłe wymiany towarów, czy usług. Dopiero na drugiem miejscu można kierować się sympatjami politycznemi. Takim państwem, które przeszło połowę naszego eksportu brało i brało udział w więcej niż połowie naszego importu, były Niemcy. Przypatrzmy się tymczasem, z kim zawieraliśmy traktaty: 1. 7. 1921 z Rumunją, 6 lutego 1922 z Francją, tegoż roku z Włochami, Szwajcarją, Austrją, Jugosławją, Japonją i Belgją, w 1923 — z Turcją i Finlandją, w następnych latach z Bułgarją, Grecją, Węgrami, Czechosłowacją, Anglją, Danją, Holandją, Szwecją, Łotwą i t. d. Wyobraźmy sobie, jak dużo musieli nasi pełnomocnicy myśleć nad tem, aby przy każdym zawieranym traktacie nie dać przywilejów takich, którychby nie chciało się dać później największemu kontrahentowi — Niemcom, z którym tymczasem trwała wojna celna? W wielu wypadkach nie było dowodów tej myśli. Otóż Niemcy, po kilku latach hołdowania tradycyjnej bucie bismarkowskiej, zaczęły wreszcie poważniej myśleć o uregulowaniu stosunków gospodarczych z Polską i zdobyły się na pewne konieczne ustępstwa. W konkluzji, w roku bieżącym, zawarto traktat nazwany „umową gospodarczą“ dlatego, że brak w nim postanowień komunikacyjnych. Prawie jednocześnie, bo w 1929 roku, Polska odnowiła umowę handlową z Francją. Obydwa te traktaty nie zostały wprowadzone w życie formalnie, gdyż brak im ratyfikacji parlamentarnej w Polsce. I tu właśnie przechodzimy do meritum. Czy ratyfikacja Sejmu jest konieczna?

Art. 49 naszej Konstytucji mówi o zawieraniu traktatów: „Prezydent Rzeczypospolitej zawiera umowy z innemi państwami i podaje je do wiadomości Sejmu. Umowy handlowe i celne, oraz umowy, które stale obciążają państwo pod względem finansowym, albo zawierają przepisy prawne obowiązujące obywateli, albo też wprowadzają zmianę gra-

nie Państwa, a także przymierza — wymagają zgody Sejmu".

Niektórzy politycy handlowi widzą w powyższym artykule rozwiązanie zagadnienia w tym duchu, że władza wykonawcza jest związana uprzednią zgodą parlamentu na traktat. Są jednak i tacy i to bardzo wybitni, jak np. radca poselstwa polskiego w Berlinie, twórca umowy zbożowej polsko - niemieckiej, prof. Gawroński, którzy odmiennie interpretują ten przepis konstytucyjny. A mianowicie: Z przeciwstawienia umów niekwalifikowanych z umowami handlowemi, celnemi i t. d. można domyślać się, że brak zgody parlamentu powoduje nieważność traktatów. Tymczasem tak nie jest. W art. 50 jest mowa o **uprzedniej zgodzie Sejmu**, którą winien uzyskać Prezydent Rzeczypospolitej na wypowiedzenie wojny i zawarcie pokoju.

Z przeciwstawienia tych 2-ch artykułów, prof. Gawroński wnosi, że przy wypowiedzeniu wojny i zawarciu pokoju, jest dla ważności wymagana zgoda Sejmu, natomiast przy traktatach handlowych, zgoda ta wymagana jest tylko dla skuteczności t. zn. mocy obowiązującej wewnątrz kraju, a moc na zewnątrz nie jest tu niczem ograniczona. Jest to więc zagadnienie ważności i skuteczności traktatów. Prof. Gawroński dodaje, że z punktu widzenia międzynarodowego (jak wiadomo, dziś, przy konwencjach międzynarodowych, składa się dokumenty ratyfikacyjne w Lidze Narodów) — przepisy konstytucyjne państw, które wymagają zgody czynników prawodawczych, wchodzą o tyle w rachubę, o ile zawierają ograniczenia przedstawicieli państwa do zastępowania go na terenie międzynarodowym.

Nie mamy zamiaru, oczywiście, rozstrzygać sporu, który się toczy między fachowcami, podajemy jedynie wątpliwości te, gwoli podkreśleniu i w tej dziedzinie niedostatecznej jasności naszej Konstytucji. Ważność traktatów uzależnioną od zgody czynników ustawodawczych, jako regułę, znajdujemy w konstytucji rumuńskiej z 1923 roku, która głosi, że umowy handlowe muszą być przedstawione władzom ustawodawczym uprzednio i przez nie zatwierdzone. W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej Prezydent zawiera traktaty tylko za zgodą Senatu.

Mgr. URAM ALEKSANDER.

POSTĘPOWANIE UPADŁOŚCIOWE W TEORJI A W PRAKTYCE.

Od roku 1929 zaczęły się w naszem życiu handlowem bardzo silne upadłości, których fale dotychczas nie ustały.

Należy zastanowić się, co może być tego przyczyną?

Niektórzy twierdzą, że ustawodawstwo jest zbyt liberalne i nieprzystosowane do wymagań obecnej doby, słyszy się narzekania na ogólny kryzys gospodarczy Państwa. Mówi się o demoralizacji kupiectwa, względnie o nieprzygotowaniu większości kupiectwa do swych obowiązków.

Niewątpliwie wiele z tych twierdzeń ma swoje uzasadnienia. Zajmijmy się przedewszystkiem ustawodawstwem, a zobaczymy, jaki wpływ wywiera ono na obecny ustrój handlowy, względnie przemysłowy.

Surowość przepisów upadłościowych dla hadlującego czy też produkującego, który zaprzestał wypłat, ma swe głębokie uzasad-handlującego czy też produkującego, który nienie, mianowicie wyrabia etykę kupiecką, ambicję, poszanowanie zobowiązań honorowych, których regularna zapłata była ongiś

nakazem honoru kupca względnie nakazem jego firmy.

Jednem z takich postanowień rygorystycznych jest ordynacja konkursowa z dnia 14 XII, 1914, a obowiązująca od 1915 r.

Ustawa ta wyrabiała omówione zalety kupiectwa: przyjrzyjmy się jej, a zobaczymy, jakie wpływy wywierała na stosunki majątkowe upadłego dłużnika.

Już samo otwarcie konkursu przez wierzycieli względnie dłużnika, wyzuwa upadłego z zarządu majątkiem, czyni nieważność niektórych aktów przez niego zdziałanych w okresie przez prawo przewidzianym, oraz uniemożliwia nabycie w tymże czasie przywileju ani hipoteki na majątku upadłego.

Niektóre czynności prawne zdziałane przed otwarciem konkursu czyni zaczepialne, jak np. czynności przedsięwzięte w ostatnich 10 latach przed otwarciem konkursu, o ile druga strona wiedziała o zamiarze pokrzywdzenia swych wierzycieli. Tak samo zaczepialne są czynności prawne przedsięwzięte w ostatnich 2 latach przed otwarciem konkursu na korzyść swych członków rodziny, z tem zastrzeżeniem również, o ile zamiar otwarcia konkursu nie był im wiadomym, a tem samem zamiar pokrzywdzenia, przy tem ustawa nakazuje członkom rodziny wykazać, że nic nie wiedzieli o niewypłacalności dłużnika, co „nota bene" jest ogromnie trudne.

Jak zaznaczyłem wyżej, dłużnik zostaje wyzuty z zarządu majątkiem, a jego miejsce zajmuje zarządca masy konkursowej, który nią zarządza aż do czasu zlikwidowania majątku przedsiębiorstwa.

Zarząd polega na zbadaniu stanu masy, ściągnięciu i zabezpieczeniu aktywów oraz ustaleniu długów, prowadzeniu sporów tyczących się masy w całości lub w części, a następnie na definitywnem ustaleniu inwentarza i oszacowaniu tegoż.

Zarządca masy bada bilans przedłożony przez dłużnika, spienięża majątek należący do masy konkursowej i umieszcza gotówkę na procent, prowadzi dalej przedsiębiorstwo, o ile wydział uzna za stosowne, względnie zamyka i ewentualnie pozbywa nieruchomości (o ile są) z wolnej ręki.

Po zlikwidowaniu masy składa on rachunki, a następnie następuje zaspokojenie wierzycieli.

Dłużnik może uczynić wniosek o zawarcie ugody przymusowej. Sąd konkursowy może taki wniosek odrzucić lub przyjąć, o ile uważa go za dopuszczalny. Natenczas wstrzymuje się spieniężenie masy konkursowej, aż do powzięcia uchwały wierzycieli.

Warunki powzięcia wniosku są następujące: aby większość obecnych na audjencji wierzycieli konkursu, uprawnionych do głosowania, zgodziła się na wniosek, by ogólna suma wierzytelności konkursowych wynosiła conajmniej $^3/_4$ ogólnej sumy wszystkich wierzytelności uprawnionych do głosowania.

Ugoda wymaga zatwierdzenia sądowego i zwalnia dłużnika od obowiązku zwrócenia później wierzycielom niedoboru bez względu na to czy brał udział w postępowaniu konkursowem lub ugodzie przymusowej.

Nadmienić należy, że stowarzyszenia zarobkowe i gospodarcze, jak np. spółdzielnia, nie mogą zawierać ugody przymusowej.

Gdy z jednej strony konkurs był moralnym hamulcem dla nieuczciwych kupców, z drugiej strony niszczył zupełnie placówki handlowe i przemysłowe.

Tak tedy te rygorystyczne postanowienia pozostały niepożądanem zjawiskiem tak dla wierzycieli jak dla dłużników, ponieważ w praktyce konkurs nie przysparza nietylko żadnej korzyści wierzycielom, ale nawet nie zaspokaja niejednokrotnie w części ich wierzytelności, gdyż koszty zarządu pochłaniają dużą część majątku, a nawet niejednokrotnie cały majątek, eo ipso wierzyciele wychodzą z niczem. Co zatem idzie, dla dłużnika jest konkurs niejako śmiercią cywilną.

Dla bliższego wyjaśnienia należy zaznaczyć, że większość upadłych przedsiębiorstw to jednostki małe, których aktywa przedstawiają się jako wielka ilość drobnych wierzy-

telności w stosunku do tychże pozostałych zapasów towarów. Zlikwidowanie zaś tego rodzaju przedsiębiorstwa zabierze tyle czasu, że wynagrodzenie likwidatora, to jest zarządcy względnie jego pomocników — a są to w zasadzie osoby ze stanu adwokackiego — pochłaniają cały majątek dłużnika. Przy większych przedsiębiorstwach o majątku przeważnie nieruchomym konkurs pod pewnemi zastrzeżeniami byłby na miejscu.

Dla gospodarki zaś społecznej jest o tyle szkodliwy, że niszczy placówki gospodarcze, przeto sąd stara się, o ile możności, nie zastosowywać ordynacji konkursowej, a doprowadzić do ugody przy zastosowaniu ordynacji ugodowej z dnia 14/XII 1914, nieco korzystniejszej dla obu stron, t. j. dla wierzycieli i dłużnika, ubezwładniając niejako upornych i bezwzględnych wierzycieli.

Tak tedy postępowanie ugodowe jest aktem pieczy dla uczciwych dłużników, którzy bez własnego zawinienia padli ofiarą nieszczęśliwej konjunktury lub innych zdarzeń elementarnych.

Taka była myśl ustawodawcy, czy jednak osiągnęła skutek? oto pytanie!

Przejdźmy najpierw w teorji rzeczoną ustawę i przystosujmy ją do praktycznego życia.

Tak jak w ustawie konkursowej przy ogłoszeniu upadłości ustanawia się zarządcę konkursowego, tak też i przy ugodowej zarządcę ugodowego, z tą jednak różnicą, że dłużnik nie zostaje wyzuty z zarządu swego majątku, lecz prowadzi dalej przy nadzorze zarządcy.

W postępowaniu ugodowem zarządca ugodowy jest obowiązany dokładnie zbadać ekonomiczne prowadzenie przedsiębiorstwa, podać przyczynę upadku majątkowego, w jakim stosunku do wierzytelności dłużnik może być wypłacalny. Dbać o to, by przedsiębiorstwo było utrzymane w całej swojej rozciągłości, a majątek nie został uszczuplony.

Jak widzimy, celem ustawy jest bezwzględne dążenie do utrzymania przedsiębiorstwa w przeciwieństwie do ustawy konkursowej, której dążeniem jest jak najszybsze zlikwidowanie i upłynnienie kapitału na pokrycie wierzycieli (naturalnie, o ile konkurs nie dojdzie do ugody przymusowej).

Z tem łączy się różnica co do osoby zarządcy i sposobu zarządu majątkiem.

W konkursie, który wymaga szczególnej znajomości rygorów prawnych i ostrożności w wykonywaniu zleceń, zachodzi konieczność ustanowienia adwokata, co w zasadzie podraża administrację majątkiem.

Dłużnik bowiem, a także niektórzy niesforni wierzyciele, najmniejsze choćby przeoczenia zarządcy, niepowodujące zresztą dla nich żadnej szkody, wykorzystują jako środek prawny, co do którego ordynacja konkursowa nie zna granic dopuszczalności.

Zarząd masy ugodowej wymaga znajomości fachowej, kupieckiej do prowadzenia interesu, dlatego zarządcami, co należy z uznaniem podkreślić, sądy zasadniczo mianują kupców odnośnej branży, którzy pobierają bardzo niskie wynagrodzenie, a w wypadkach godnych uwzględnienia — wcale nie.

Warunkiem przyjęcia wniosku ugodowego jest, aby większość obecnych na audjencji wierzycieli uprawnionych do głosowania zgodziła się na wniosek, by ogólna suma wierzytelności wierzycieli, którzy się zgodzili, wynosiła conajmniej $^3/_4$ ogólnej sumy wszystkich wierzytelności uprawnionych do głosowania, następnie, by ofiarowany przez dłużnika kapitał wynosił minimum 20% wierzytelności.

W praktyce przychodzi do ugody nawet przy najcięższych warunkach stawianych przez dłużnika. Każdy wierzyciel, który niema specjalnego zabezpieczenia (np. hipotecznego) zadowolony jest, jeśli otrzyma przynajmniej pewną skromną część swej wierzytelności, aniżeli miałby wyjść z niczem, jak to ma miejsce w ordynacji konkursowej. Dlatego też i ze strony wierzycieli jest chętniej widziane dziś postępowanie ugodowe, aniżeli konkursowe.

Intencja ustawodawcy w samem założeniu była dobra, gdyż zamiarem jego była ochrona słabszego przed silniejszym, jednak, niestety, w skutkach jest wprost rujnująca dziś podwaliny życia gospodarczego. Słowem sta-

ła się źródłem licznych nadużyć. Poszczególne jednostki, które mają w tem interes starają się słabe strony ustawodawstwa wykorzystać, wyłamując się z pod ogólnych zasad etycznych, których żaden choćby najbardziej rygorystyczny przepis prawny nie zastąpił. Dlatego nic dziwnego, że w naszym okręgu a przypuszczam, że w całej Małopolsce od początku roku 1929 tak często zdarzają się upadłości, że wprost są na porządku dziennym.

Statystyka wykazuje, że w całym okręgu stanisławowskim w przeciągu od 1 stycznia 1930 r. do 1 lipca 1930 r. było 122 upadłości w sądzie a ileż było cichych pozasądowych ugód, trudno stwierdzić.

Z liczby zestawień tych przedsiębiorstw jasną jest rzeczą, że nie wszystkie one upadły wskutek nieszczęśliwej konjunktury względnie nawet wskutek niefachowości ich właścicieli lub kierowników. Pewna część tych upadłości powstała można śmiało stwierdzić wskutek najzwyklejszej chęci wzbogacenia się **drogą upadłości**. Jasnem to jest jeżeli zważyć, że pewna część upadłych przedsiębiorstw powtarza swoje upadłości w okresach przeciętnie od półtora do dwuletnich. Jeśli się zważy, że samo postępowanie ogłoszenia uchwały i zatwierdzenia ugody i inne formalności wymagają czasu conajmniej półtorarocznego to część tych przedsiębiorstw regularnie co roku bankrutuje. Nadto zauważyć należy, że w tego rodzaju miastach powiatowych w których mniejsza ilość ludzi możliwie dokładnie obserwuje dłużnika i członków jego rodziny, badania wykazały że w okresach między jedną upadłością a drugą, dłużnik i jego rodziny żyją nad stan, kupując nawet często realności i kosztowności, co bynajmniej nie wskazuje na złą konjunkturę, przynajmniej dla dłużnika.

Niebezpieczeństwo w tym względzie stwarza ordynacja ugodowa, która nie zna ograniczenia terminów spłaty ugodzonej części kapitału, żądając wzamian zato poręki bliższej rodziny dłużnika, przeważnie żony. Ponieważ termin spłaty wynosi przeciętnie około roku, ręczyciel, w tym wypadku żona, ma możność usunięcia swego kapitału i sama zgłasza postępowanie ugodowe, przybierając za ręczycieli znowu osobę jej bliską (krewną). W ten sposób powstaje błędne koło ręczycieli i postępowań ugodowych. Znane są wypadki że jedno i to samo przedsiębiorstwo w tym samym lokalu sklepowym w ciągu kilku lat od męża po przez żonę na trzeciego syna przeszło a proceder ten odbywał się przy ciągłym, że tak powiem, naciąganiu wierzycieli, którzy w ostateczności otrzymali ułamkową część procentów od kapitału.

Nadto niebezpieczeństwo dla mniejszości dłużników stwarza przepis, w myśl którego ugoda może dojść do skutku tylko gdy większość dłużników reprezentowanych większości pretensji głosuje za zgodą. Wierzyciel bowiem dla zapewnienia sobie większości przyrzeka wielkim wierzycielom w tajemnicy lepsze warunki, w ten sposób więksi wierzyciele uzyskują większą korzyść ze szkodą dla małych wierzycieli.

Niestety ustawodawstwo karne okazało się w praktyce w tym względzie niedostateczne, o tyle że machinacje tego rodzaju dłużnika nie dadzą się w postępowaniu karnem udowodnić, gdyż wszyscy świadkowie, którzy mogliby go obciążyć, uchylają się od zeznań, zasłaniając niebezpieczeństwo dochodzeń karnych przeciw sobie samym.

Miejmy jednak nadzieję, że jednolita ustawa karna w tym względzie wyjdzie i zabezpieczy w tym kierunku społeczeństwo przed nadużyciami.

W każdym razie, o ile piszący miał możność przekonania się z projektu odnośnej ustawy, przyjętego przez komisję kodyfikacyjną, to uznaje ona karalność dłużników i ich współpracowników względnie pełnomocników działających na szkodę wierzycieli.

W ten sposób ustawa ugodowa, mająca w zasadzie swego założenia dążność do obrony słabszego t. j. dłużnika, stała się łatwem źródłem wzbogacenia się niesumiennego dłużnika kosztem w tym wypadku słabszych, wykorzystanych wierzycieli.

Częstokroć bowiem zdarza się, że dłużnik szantażuje wprost wierzyciela, niechcącego

dobrowolnie zgodzić się na upust wierzytelności, groźbą zgłoszenia postępowania ugodowego. Jakże inaczej można wytłumaczyć sobie owe wielkie upadłości, gdzie dłużnik przez kilka lat wprost, że tak powiem, przemocą stara się rozszerzyć swój kredyt, usuwając pożyczony majątek po części w bezpieczne miejsce, by następnie zgłosić upadłość z góry już uplanowaną i w ten sposób wzbogacić się niemal.

Weźmy za przykład jedną z największych a może największą upadłość w Polsce firmy E. Ch. G. stanisławowskiej i skawińskiej rafinerji. Przedsiębiorstwo to obejmuje obok wyżej rzeczonych rafineryj także i kilka rafineryj zagranicznych a zbankrutowało ogółem w kraju na 1,200.000 dolarów t. j. około 20 część pożyczki dilonowskiej.

Czy i w tym wypadku można mówić o złej konjunkturze gospodarczej względnie o nieprzewidzianych zdarzeniach? Czy przedsiębiorstwo, pracując od chwili założenia t. j. od czasów bezpośrednio po wojnie bez przerwy w granicach maksymalnej produkcji, mogło w ciągu ostatniego roku lub 2 lat utracić takie wprost horendalne sumy? Bo jeśli przedsiębiorstwo to pracowało dłuższy czas z deficytem, a dłużnik mimo to przy pomocy coraz bardziej rozszerzonych kredytów czynił coraz to nowe inwestycje, to tego rodzaju postępowanie jest conajmniej lękkomyślnością ciężkiej kary godną.

Pomijam już tu inne czyny karygodne, które śledztwo wykaże.

Firma wyżej rzeczona znajduje się obecnie w postępowaniu ugodowem i kto wie, czy ugoda, mocą której wierzyciele otrzymują 30 do 50% ich kapitału bez procentów dopiero za kilka lat — nie zostanie zawartą.

Czy w tym wypadku dłużnik również zasługuje na dobrodziejstwo ordynacji ugodowej? Niestety w gronie tych wierzycieli jest także poszkodowanych kilkaset osób prywatnych a osoby te na wypadek postępowania konkursowego utraciłyby ostatnie swoje oszczędności.

Z przykrością należy podkreślić, że władze banków prywatnych i państwowych w niemałej mierze umożliwiły firmie E. Ch. G. wspomniane, że tak powiem, machinacje. Bo jakże dziwić się prywatnym jednostkom, że darzyły ją tak niezmiernem zaufaniem, kiedy jeden z prywatnych banków angażował się na kwotę około 900.000 zł. Banki państwowe udzielały jej kredytu do sumy kilkuset tysięcy, wprawdzie za pokryciem wekslowem lub rymesowem, lecz niestety bez zabezpieczenia hipotecznego.

Jak się po upadłości E. Ch. G. okazało, pokrycie to było iluzoryczne, gdyż podpisy względnie żyra na rymesach były sfałszowane, częścią pochodziły od dłużników bez żadnego majątku.

Uderzyć musi przedewszystkiem zbyt silne zaufanie, a co najważniejsze brak porozumienia między bankami prywatnemi i państwowemi, co do zdolności kredytowych poszczególnych przedsiębiorstw i co do wysokości kredytów udzielanych poszczególnym przedsiębiorstwom. Przypuścić bowiem nie można, by kierownictwo banku dopuściło świadomie do tak zawrotnych co do wysokości kredytów, nie mając pewnych danych o ich zabezpieczeniu, co w tym właśnie wypadku nie miało miejsca.

W świetle tych wywodów okazuje się, że tak ordynacja konkursowa, jakoteż i ugodowa, mimo, że są to ustawy nowoczesne i stosunkowo bardzo niedawno weszły w życie, są nieprzystosowane do obecnych czasów a co gorsze okazały się dla społeczeństwa w praktyce wprost niebezpieczne, gdyż umożliwiają niesumiennym jednostkom wywłaszczenie społeczeństwa na swoją korzyść w drodze legalnej.

O trzeciej ustawie obowiązującej na terenie byłego zaboru rosyjskiego t. j. O Zapobieganiu Upadłości (rozp. Prez. z dnia 23. XII. 1927 r.) piszący mimo, iż teoretycznie mógłby o niej wspomnieć, jednakże nie mając możności sprawdzenia jej skutków w życiu praktycznem, nie zabiera głosu. Chętnie jednakże chciałby poznać jej walory choćby w drodze artykułu na łamach niniejszego pisma.

Dr. ALOYZY KOBYŁECKI.

JAK ROZBUDOWAĆ NASZĄ FLOTĘ HANDLOWĄ.

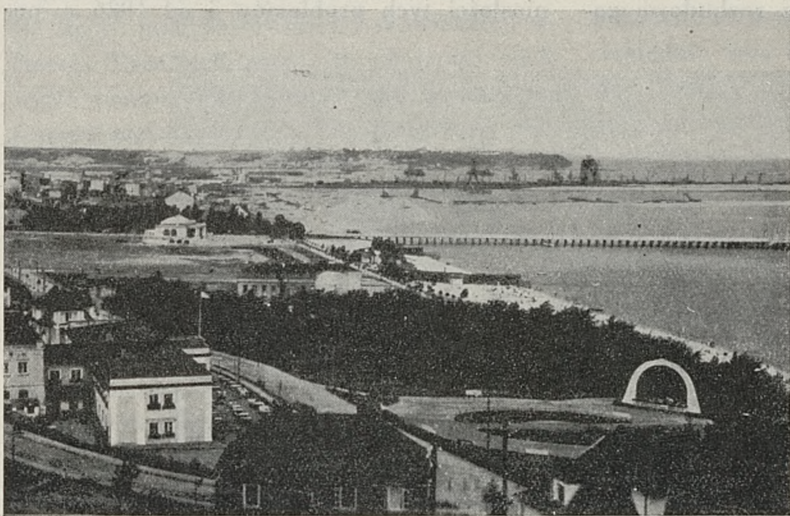
Traktatem wersalskim przyznała zwycięska koalicja Polsce wolny dostęp do morza— i oddała nam skrawek wybrzeża Bałtyku, długości około 80 kilometrów. Zajęci organizacją naszej młodej państwowości i wytyczaniem granic, dzielących nas od niebezpiecznych sąsiadów, nie mieliśmy czasu, ani też możności finansowania i zajęcia się bliżej sprawami, związanemi z rozbudową gospodarczą naszego wybrzeża. Do tego dołączyło się tradycyjne niedocenianie znaczenia posiadania morza, które, stanowiąc naturalną granicę, więcej łączy, niż dzieli różne państwa w ich wspólnych interesach. Dopiero sąsiedzi nasi, zagrażając nam niebezpieczeństwem nowego podziału — wpłynęli mimowoli na zmianę naszych poglądów. Odcięci w wojnie bolszewickiej od naszych sprzymierzeńców przez państwa „neutralne", i bojkotowani przez wrogi nam Gdańsk — przekonaliśmy się, że jeżeli nie wybudujemy własnych portów i własnej floty, to w najbliższej wojnie zostaniemy pokonani jedynie przez sam brak dowozu niezbędnych materjałów pomocniczych od państw sprzymierzonych. Po ocenie wojskowej naszego wybrzeża przyszła kolej na ocenę gospodarczą. Zwiększenie naszego eksportu, uskutecznianego w dodatku własnemi statkami handlowemi, stanowić winno najważniejszą pozycję w naszym bilansie płatniczym i uniezależnić nas pod tym względem od Niemiec. Trzeba przyznać, że rząd obecny zdaje sobie sprawę z doniosłości tych problemów i od 1926 r. począwszy, systematycznie dąży do zrealizowania programu, jaki sobie nakreślił w swej polityce morskiej. Widzimy już dziś, jakie wrażenie robi zagranicą budowa pierwszego naszego portu, t.j. Gdyni. Bezsilna wściekłość —żyjącego naszym chlebem—Gdańska i występy różnych polityków niemieckich w rodzaju Schachta i Treviranusa obalają głoszoną przez nich tezę, że Polska jest państwem sezonowem, gdyż nieumiejąc gospodarować —nie potrafi się długo utrzymać o własnych siłach. Tymczasem rząd i społeczeństwo polskie potrafiło stworzyć zbiorowym wysiłkiem na terenie nieużytków miasto, liczące dziś ponad 30.000 mieszk., oraz port, eliminujący powoli wpływy Gdańska i portów niemieckich.



Gmach Banku Polskiego w Gdyni.

Dla przykładu przytoczę parę cyfr statystycznych, które pomogą zobrazować wzrost zdolności przeładunkowej portu gdyńskiego:

rok	przywóz	wywóz	ogółem ton obr.
1925	1.576	50.142	51.728
1926	179	413.826	414.005
1927	6.702	889.439	895.813
1928	190.962	1,765.658	1,956,020
1929	324.297	2,494.245	2,818.542
I. półr. 1930	—	—	1,606.827



Widok z Kamiennej Góry na port.

Dla porownania podam cyfry obrotu portu gdańskiego:

w 1912 r. przewieziono 2,450.000 ton
„ 1923 „ „ 1,717.000 „
„ 1925 „ „ 2,700.000 „
„ 1928 „ „ 6,800.000 „
„ 1929 „ „ 8,450.000 „

A więc obroty portu gdańskiego od roku 1925 począwszy t. j. od poziomu cyfr obrotu przedwojennego — powiększyły się 4-rokrotnie, mimo tak poważnej konkurencji Gdyni. Z tego wynika, że Gdańsk niesłuszne ma do nas pretensje, iż upada przez Gdynię, gdyż o takich obrotach nie marzy się żadnemu z równorzędnych Gdańskowi portów niemieckich. Z drugiej strony wniosek, że Gdynia jest już dzisiaj bardzo poważnym portem, i że eksport nasz, który dominuje w obrotach Gdyni i Gdańska, wzrósł tak bezwzględnie, jak i procentowo — jako wywóz morzem w stosunku do wywozu drogą lądową. I tak w roku 1924 stosunek ten wyrażał się cyfrą 10%, w roku 1929 cyfrą 44%, czyli połową naszego eksportu ogólnego. Korzyści ogromne, jeżeli weźmiemy pod uwagę: 1) że transport drogą wodną jest od 25%—125% tańszy w porównaniu z drogą lądową, 2) że uniezależnimy się od przewozu przez obce terytorja a cały zysk pójdzie do naszej kieszeni, o ile zbudujemy flotę handlową odpowiadającą naszym możliwościom eksportowym.

A teraz przyjrzyjmy się naszej flocie handlowej. W dniu 31 grudnia 1929 r. posiadaliśmy:

5 statków pasażerskich dla żeglugi przybrzeżnej i po Bałtyku;

4 statki pas.-towarowe dla żeglugi dalszej — nośności: 14.000 tonn:

12 statków towarowych różnej wielkości—razem nośności: 86.000 tonn;

Ogółem 21 statków—nośności ok. 50.000 tonn.

Dodajmy do tego 36 różnych statków pomocniczych przybrzeżnych, a otrzymamy około 58.000 tonn pojemności całej naszej floty.

W porównaniu z nami posiadają państwa nadbałtyckie:

Norwegja:	3,307.000 t. r. n.
Szwecja:	1,535.000 „
Danja:	1,073.000 „
Finlandja:	310.000 „
Łotwa:	171.000 „
Estonja:	58.000 „

A więc stoimy na szarym końcu tej tabeli, co powoduje, że udział naszej floty w obro-

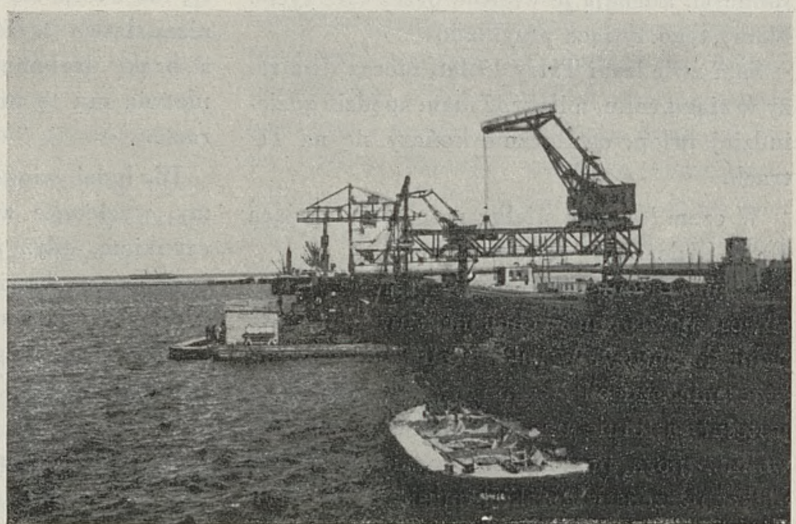
tach portu gdyńskiego wyraża się cyfrą: 10% — 13%.

Jeżeli uwzględnimy obszar naszego państwa i możliwości eksportu naszego, to wybudowanie floty handlowej, równej flocie Danji t. j. o pojemności 1,000.000 tonn musimy uważać za minimum naszych potrzeb i naszego prestige'u. Obecne tempo wzrostu naszej floty wykazuje, że musimy czekać około 50 lat na spełnienie tych marzeń, o ile całe społeczeństwo nie poprze energicznie poczynań rządu. Na 21 statków, posiadanych przez nas, zaledwie 7 należy do towarzystw prywatnych, reszta, administrowana przez przed państwowe „Żeglugę Polską" — jest własnością państwową.

A teraz najważniejsze pytanie skąd wziąć fundusze na rozbudowanie floty w tempie przyśpieszonem? Biorąc pod uwagę, że budowa statku o pojemności 1,000 tonn pochłonie około ½ miljona złotych — potrzeba nam do wybudowania floty o 1,000.000 tonn pojemności tylko 500 miljonów zł.

Cyfra, na nasze stosunki budżetowe za wysoka, nie jest dużą w stosunku do dochodu ogólnego społeczeństwa, o ile to społeczeństwo nie jest wyczerpane i zubożałe długoletnią wojną. Pomyślny wynik rozpisanej ostatnio pożyczki budowlanej dowodzi, że nasze społeczeństwo oszczędza i ma zaufanie do podobnej lokaty swych oszczędności. Czy tą drogą możnaby wydobyć potrzebny kapitał od naszego społeczeństwa i kto ma być inicjatorem tej pożyczki — rząd, czy też prywatna spółka akcyjna? Narazie ograniczono się do stworzenia instytucji półpaństwowej t. zw. „Komitetu Floty Narodowej" jednak rezultaty akcji tej instytucji nie mogą być nadzwyczajne — członkami Komitetu są jednostki przeważnie słabe finansowo, jak np. urzędnicy, gdyż do nich można najłatwiej dotrzeć.

Chodzi o pociągnięcie tych bogatszych członków naszego społeczeństwa, którzy czy-



Dźwig przeładunkowy przy pracy.

to jako jednostki, czy też jako różnego rodzaju spółki obracają dużemi kapitałami, a którzy tak mało okazują zainteresowania do naszych spraw morskich. Datki groszowe jednostek uboższych uważam za właściwe wtedy, gdy chodzi o osiągnięcie pewnych doraźnych celów.

Poddaję pod dyskusję Szan. Kolegów, czytelników naszego kwartalnika, powyżej przedstawiony problem, który oby wywołał duże zainteresowanie.

EDWARD NEHRING.

WYCIECZKA W TATRY

Wiadomem jest powszechnie, że osoby, które raz przynajmniej zwiedziły Tatry... chodziły po ich dolinach, przełęczach, szczytach, zwłaszcza pięły się po turniach, zdobywając z trudem krok za krokiem, centymetr po centymetrze... wracają do nich przy każdej sposobności, kochają je wiernie przez całe życie. Mamy tego tysiące przykładów.

Sam zwiedzam Tatry 17 lat, nieraz dwa razy w ciągu roku, a ilekroć mam spędzić gdzieindziej urlop, ostatecznie kończy się na Tatrach.

W czem leży tak wielka moc przyciągająca Tatr? Należałoby się zastanowić!

Mam wrażenie, że zasadniczą przyczyną tego jest powrót nas, choć na chwilę w całej pełni do natury. Wszak wśród dzikich turni, krzesanic, szpacht, kaminków, piargów i t. p. jesteśmy istotnie na łonie natury; zupełnie wolni... poza przepisami prawnemi. Wśród niebezpieczeństw górskich musimy liczyć tylko na własne siły. Wszyscy są równi wobec niebezpieczeństwa. Często osoby, noszące wysoko głowę na równinach, tu maleją ogromnie...

Budzi się w nas instynkt samozachowawczy. Mimowoli pokonywamy różne trudności, które normalnie wydawałyby się nie do przezwyciężenia. Wtedy zapominamy zupełnie o kołowrotku codziennego życia, a powołujemy do pracy ośrodki mózgowe, które przeważnie są u nas w uśpieniu, a resztę „kładziemy spać". W ten sposób osiągamy doskonały odpoczynek dla mózgu i splotu nerwów, z nim związanych.

Zysk ten jest nadzwyczaj ważny dla osób, pracujących umysłowo, szczególniej przy zajęciu, wymagającem dużego napięcia nerwów.

Jeżeli dalej zważymy, że przy wycieczkach w góry organizm jest zmuszony do wzmożonej pracy, a płuca łakną większej ilości tlenu, którego jest dość dookoła w doskonałej postaci, wywołującej szybką i dokładną przemianę materji — nietrudno będzie zrozumieć, że organizm, raz zakosztowawszy rozkoszy bytności na łonie natury, ciągle by do niej wracał. Nawet większy wysiłek, nieraz ponad siły, nie odbija się na zdrowiu, ponieważ organizm łatwo wyrównywa nadmierne straty, a brak drobnoustrojów chorobotwórczych ułatwia mu tę pracę... Nie ma się czem zarazić.

Dla ludzi, wiodących siedzące życie, jak np. my, wycieczka w góry jest istotnym odpoczynkiem, gdyż pracujemy fizycznie, czego jesteśmy pozbawieni przy codziennej pracy, a odpoczywamy umysłowo.

Fałszywe jest zgoła twierdzenie niektórych, że odpoczynkiem dla urzędnika, siedzącego codziennie po 7—8 godzin przy biurku w zatrutem, przepojonem kwasem węglowym powietrzu — jest leżenie lub ewentualnie siedzenie w jakiejś kuracyjnej miejscowości. Będzie to również okres obumierania tkanek, a więc nas samych, li tylko w lepszych warunkach atmosferycznych.

Praca wszystkich mięśni jest stale potrzebna, a wywołane chwilowe zmęczenie jest konieczne, dobre zaś wypocenie się w idealnych warunkach powietrza posiada skutki zbawienne dla organizmu: odmładza go, hartuje i dodaje sił i energji: **spalają się bowiem szybko stare tkanki — narastają zaś nowe — młode.**

Z tego doskonale zdaje sobie sprawę każda istota żywa i dlatego ciągną ją Tatry, choć nie wie dlaczego.

A ileż to po za tem — Tatry dostarczają pięknych widoków... nie do opisania. Proszę tylko być na szczycie **Granotów** (2232 m), podczas zachodu słońca i obserwować koloryt **Czarnego Stawu Gąsienicowego,** gdy oblana złotym blaskiem **Żółta Turnia** (2088 m), kąpie się w stawie, obok czarnego, ponurego

Kościelca (2159 m). Jeśli mgiełki są przy tem i przelatują szybko — gra kolorów żywych... naturalnych potęguje widok.

A zjawisko Brokenu, zaobserwowane dwukrotnie przez piszącego te słowa: w 1913 r. na przełęczy **Szpiglasowej** i w 1924 na **Świnicy** (2306 m), polegające na tem, że widzi się cień na chmurze w obramowaniu tęczy (chmura musi być pod nami, a słońce za nami).

Jest tak dużo pięknych widoków w Tatrach, dzięki ciągłym zmianom, zależnie od oświetlenia chmór, mgieł i t. p.—że życie jedno jest za krótkie, by to wszystko zauważyć i zapamiętać. Ilekroć byśmy nie byli na tem samem miejscu, zawsze coś nowego zobaczymy, piękniejszego, niż poprzednio.

Dlatego też Tatry nie mogą się nam nigdy znudzić tak, jak zawsze się nam podobają arcydzieła sztuki, zwłaszcza muzycznej.

Mamy bowiem wtedy do czynienia z prawdziwem pięknem.

A więc w Tatrach znajdujemy **zdrowie, odmłodzenie i sprawność organizmu, przedłużenie życia naszego... i piękno.**

Czyż można się dziwić ludziom, którzy raz zakosztowali tych rozkoszy, że chcą stale wracać do tego wspaniałego zakątka naszego kraju?

Kto jednak i jak zwiedza Tatry?

W zasadzie dzielimy zwiedzających na trzy kategorje: **ceprów, turystów i tatarników.**

Pierwsi — są to ci, którzy bez żadnego przygotowania, znajomości niebezpieczeństw i powagi Tatr starają się je zwiedzić możliwie najłatwiejszym sposobem bez ryzyka: a więc w codziennym lub balowym stroju, fiakrami i autami oglądają dolinki dostępne, a na szczyty i przełęcze patrzą z dołu, a przy każdej sposobności krzyczą, śpiewają i podpisują się, gdzie się da. Czasami biorą na odwagę i wędrują ścieżkami nieco „w góry", gubiąc obcasy, podeszwy, ba! — czasem całe buciki, drżąc na każdem miejscu ze strachu. Między niemi są i bohaterowie, którzy kupują sobie ładne górskie ubrania, ciupagi, rębanice, narty, plecaki, liny i t. p. — i wędrują do Morskiego Oka... na Krupówkach lub do Trzaski. Czasami jeżdżą do Kuźnic i tam przbywają całemi godzinami w restauracji, a po powrocie, jako „triumfatorzy" i „zdobywcy Tatr", opowiadają w pensjonacie różne banialuki o swych przygodach innym, którzy nawet ceprom nie dorastają.

Typowymi zwiedzającymi Tatry i najbardziej kochającymi ich piękno są **turyści tatrzańscy:** w górskiem ubraniu o krótkich spodniach (panie również), w okutych butach z ciężkiemi plecakami, wypchanemi jedzeniem, maszynką do gotowania, spirytusem, ubraniem ciepłem, mapami i przewodnikami (pisanemi) wędrują od doliny do doliny, przechodząc przez mniej lub więcej wysokie przełęcze i szczyty, wymierzają krokami Tatry wzdłuż, wszerz i wszelkich kierunkach, jakie mogą być. Przeważnie trzymają się dróg znaczonych, a przy trudniejszych wejściach na szczyty lub zdobyciu jakiej trudnej ściany biorą przewodnika pierwszej klasy.

W góry wybierają się przeważnie parami; w każdym razie unikają chodzenia pojedyńczo; każdy piękny widok starają się chwycić na kliszę.

Taternicy w ścisłem znaczeniu tego słowa to są **sportowcy tatrzańscy,** a chwilami nawet akrobaci.

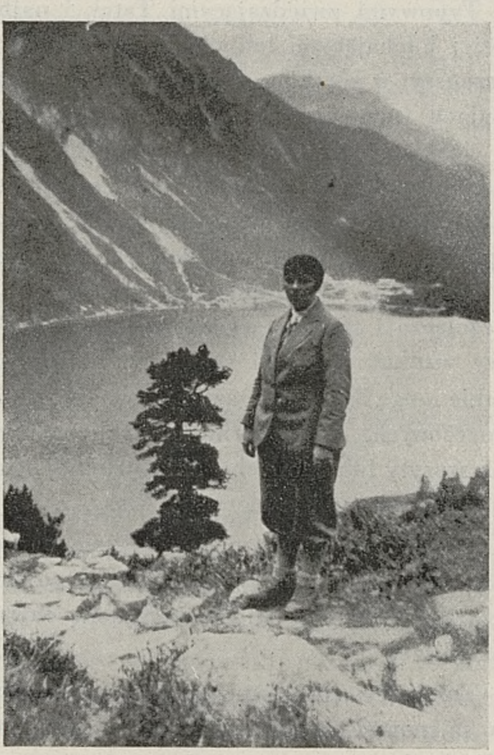
Mniej zwracają uwagi na piękno; unikają zwykłych dróg, a wyszukują trudne do zdobycia ściany i turnie, pokonywując te trudności przy pomocy: lin, haków, młotków, trzewiczków sznurowych (lub boso), często też kończąc kalectwem, a nawet śmiercią.

Taternicy stawiają się ponad wszystkimi zwiedzającymi Tatry, a wartość człowieka oceniają według liczby i trudności zdobytych „dróg", na te lub owe szczyty. Kto niebył według nich na **Zamarłej Turni,** południową ścianą, a na **Kościelcu** — zachodnią, lub na **Żabim Koniu,** czy **Ostrym Szczycie,** ten nie ma kwalifikacji na prawdziwego taternika.

Najwięcej wypadków spotykamy wśród **ceprów,** a następnie wśród **taterników.** O ile taternicy swą śmiercią opłacają laury zwycięstwa pokonywania i zdobywania niedostępnych gór — o tyle **cepry** dokumentują swą bezradność i lekkomyślność.

Poniżej zajmiemy się tylko **turystami**, najbardziej pożądanym elementem w Tatrach.

Turystą może zostać każdy człowiek bez względu na płeć i wiek, o ile nie ma jakichś specjalnych wad organicznych lub niebezpiecznej choroby.



fot. E. Nehring (Warszawa).

Limba nad Morskiem Okiem.

W zasadzie tłuści — chudną podczas wycieczek górskich, chudzi zaś — po wycieczkach, zwłaszcza po powrocie do domu łatwo tyją. Jest to zresztą normalny skutek uzyskanej podczas wycieczki dobrej przemiany materji.

Przed rozpoczęciem wycieczek górskich trzeba znać i pamiętać przynajmniej 10 przykazań::

1. Wybierać się w góry po dwie osoby, wyjątkowo więcej, w żadnym wypadku pojedyńczo.

2. Zapoznać się zawczasu z niebezpieczeństwami Tatr i trudnościami turystyki górskiej *).

3. Opracować szczegółowy plan wycieczki, zwłaszcza ilości godzin, potrzebnych każdego dnia tak, żeby zawsze za jasnego zdążyć do schroniska. (Wycieczki układamy normalnie, według przewodników pisanych, np. J. Chmielowskiego lub M. Świerza, pamiętając, że czasy podane tam są bez włączenia odpoczynków oraz zwracać trzeba uwagę na różnice wysokości).

4. Zabrać ze sobą dostateczną ilość środków spożywczych, ciepłego ubrania, mapę tatrzańską i kompas.

5. Wychodzić na wycieczkę wcześnie rano i liczyć tylko na własne siły.

6. Nie nosić cudzych przedmiotów: (przy wycieczce z niewiastą, bierzemy do swego plecaka cięższe przedmioty, jej oddając lżejsze).

7. Iść w górę wolno i nie pić wody.

8. Nie zbaczać z drogi, gdyż „kto drogi prostuje w domu nie nocuje" powiadają górale..

9. W razie zbłądzenia, koniecznie starać się wrócić do zgubionej ścieżki, a nie szukać innej drogi.

10. Unikać przejść przez płaty śnieżne i nie strącać kamieni.

Jako przykład podaję łatwą i widokową po przez niemal całe Tatry wycieczkę, jaką odbyłem we wrześniu tego roku wraz z żoną.

Przed wyjazdem do Zakopanego musieliśmy opieczętować swe legitymacje tatrzańskie u Komisarza Rządu i w Czeskim Konsulacie, ponieważ one służą nam jako przepustki na czeską stronę, gdzie również legitymacje te dają nam zniżkę (33%) na tramwaju elektrycznym, idącym wzdłuż Tatr oraz w schroniskach, będących pod zarządem Klubu Czesko-Słowackich Turystów (K. C. S. T.).

Branie przepustek w uzdrowisku w Zakopanem nie daje tych ulg, przytem trzeba koniecznie opłacić taksę klimatyczną, co nie każdemu się opłaca, jeśli ktoś (jak my) przyjechał na mniej, niż 14 dni i przeważnie siedzi w górach.

Dnia 3.IX.1930 r. przyjechaliśmy rano do Zakopanego, zatrzymując się, jak zwykle, w hotelu pod Giewontem.

*) Z. Klemensiewicz: „Zasady taternictwa", M. Zaruski: „Pogotowie ratunkowe" i „Na bezdrożach tatrzańskich".

Po wyszykowaniu się na wycieczkę, oczywiście po nieprzespanej nocy o godz. 2 pp. wyruszyliśmy z ogromnemi worami na Halę Gąsienicową (1515 m). Podczas drogi... na Boczaniu dostaliśmy pierwszą porcję potów, a żona moja pierwszą szkołę noszenia plecaka (w górach w lecie była po raz pierwszy).

Następnego dnia mieliśmy przejść przez przełęcze: **Liljowe, Zawory** i **Koprową** i przed wieczorem zdążyć do schroniska przy **Popradzkim Jeziorze.** Wyruszyliśmy więc ze schroniska już o godz. 5.45.

Było zimno i pochmurno, ale bez deszczu; szło się nieźle, pomimo ciężkich plecaków. O godz. 6.55 byliśmy na **Liljowem** (1960 m); przeważnie posuwaliśmy się wśród gęstej mgły, stopniowo zmieniającej się w śnieżycę, która w całej pełni przywitała nas na przełęczy. Nie zatrzymujemy się wcale; krótki rzut oka w Dolinę Cichą i przekraczamy granicę polsko-czeską. Idziemy ostro wygodną ścieżką zboczami **Pośredniej i Skrajnej Turni,** dalej **Przełęczy Świnickiej i Świnicy.** Jesteśmy głodni, ale dotkliwy chłód (kilku stopni mrozu) nie pozwala nam zjeść właściwego śniadania.

Mijamy prawie w milczeniu **Dolinę Walentkową** i zbliżamy się do przełęczki tej samej nazwy, wspinając się w górę. Droga nieco trudniejsza, groźniejsza zdala, niż zbliska. Obserwuję żonę, bierze przeszkody dobrze, aczkolwiek bez wprawy: skały są oblodzone, więc unika się chwytów. Tak dochodzimy do przełęczy **Zawory** (1879 m) o godz. 8.30.

Chcieliśmy tu wstąpić na **Gładką Przełęcz** (10 min. od Zaworów), ażeby zajrzeć do **Doliny Pięciu Stawów Polskich,** ale tak silnie dął wiatr i tak ziębił nas, że zaniechaliśmy tego i poniżej przełęczy, stojąc, zjedliśmy trochę i ruszyliśmy dalej.

Po drodze roztacza nam się prześliczny widok na **Ciemnosmreczyny, Wrota Chałubińskiego, Mięguszowiecki** i **Cubrynę.**

Słońce zaczyna grzać na dobre; siadamy więc wśród czarnych jagód i w ciągu niespełna pół godziny najadamy się ich do syta.

Idziemy dalej, uważając, żeby nie zbłądzić, jak to mi się zdarzyło przed kilkoma laty, gdyż krzyżują się tu drogi: do **Ciemnosmreczyn, Doliny Koprowej** i **Doliny Hlińskiej.** Mamy iść tą ostatnią. Ponieważ był piękny, słoneczny dzień, łatwo dało się zorjentować w kierunku dróg, zwłaszcza, że są czeskie drogowskazy, z wyjątkiem na Koprową Przełęcz. Jest godzina 10; mamy więc jeszcze sporo czasu. Idziemy w górę Doliny Hlińskiej jeszcze pół godziny. Na wygodnem, słonecznem miejscu zjadamy obiad.

Jeden długi odpoczynek mniej więcej w połowie drogi jest konieczny.

To też odpoczywamy około półtorej godziny. Przez cały ten czas mieliśmy zdjęte buty, grube, wełniane skarpetki, a na stopy włożyliśmy lekkie pantofle zakopiańskie.

Nic nie zamącało naszego spokoju. Cisza



fot. Z. Nehringowa (Warszawa).

Nad Morskiem Okiem.

dookoła... Jeno gdzieś daleko na dole szumi potok, zdążający do Koprowej Doliny. Ten szum monotonny tak się zlał z ciszą, że wyróżnić było go trudno.

Idziemy dalej monotonną, ale dziką i ponurą Doliną Hlińską. Po prawej ręce wyrasta

z głębin doliny olbrzymia, przepaścista, gdzieniegdzie z płatami śniegu ściana Hrubego Wierchu (2431 m).

Dotychczas nie spotkaliśmy nikogo na swej drodze, dopiero mniej więcej na połowie drogi na przełęcz — wyrasta z za głazów sylwetka dwu osób. Od nich dowiadujemy się, że w pobliżu znajduje się 12 kozic. Szukamy ich pilnie. Wkrótce nad niemi zauważamy wysoko w powietrzu jakiś olbrzymi przedmiot. Sądzimy na razie, że to samolot. Wkrótce jednak konstantujemy, że mamy do czynienia z olbrzymim orłem. Wisiał w powietrzu prawie nieruchomo, wybierając sobie ofiorę wśród stada kozic.

Pierwszy raz w życiu widziałem żywego orła na swobodzie.

Czas naglił — więc ruszyliśmy dalej. Tu zaczęliśmy wyczuwać zmęczenie, zwłaszcza ja uginałem się pod ciężarem plecaka (ok. 20 kg.). Zwolniłem kroku.

O godz. 2[10] byliśmy na **Przełęczy Koprowej** (2180 m). Pokonaliśmy więc duże wzniesienie, ponieważ z Zaworów musieliśmy zejść bardzo nisko i znów podnieść się prawie 1000 m.

Na przełęczy nie mogliśmy stać ani chwili, ponieważ wiatr był zbyt silny. Zeszliśmy nieco niżej i z zachwytem oglądaliśmy u nóg naszych ok. 200 metrów niżej leżący **Wielki Staw Hinczowy** (1965 m.) w obramowaniu: **Koprowego Wierchu** i **Szczytów Mięguszowieckich.**

Jest to jeden z piękniejszych stawów w Tatrach, brak mu tylko roślinności; wymienione wyżej góry oddzielają go od Morskiego Oka.

Schodzimy w dół wygodną ścieżką i cieszymy się, że przebyliśmy większą część drogi. Dotychczas prowadziła stosunkowo wygodna ścieżka gęsto znaczona farbą. Niestety nieco poniżej przełęczy widać lawina (w zimie zwykle tu chodzą lawiny) zniszczyła trochę zakosy i trzeba było schodzić ostrożnie po ruchomem usypisku. Dalej już powoli krok za krokiem, zmęczeni ogromnie, schodziliśmy piękną **Doliną Mięguszowiecką** — mając po prawej stronie dzikie, poszarpane ściany **Baszt z Szatanem** (2432 m.) na czele.

O godz. 4[20] byliśmy w schronisku przy **Popradzkim Jeziorze** (1513 m.).

Z rozkoszą pozbyliśmy się plecaków.

W schronisku gwarno: przeważnie Słowacy, ale również dużo Węgrów, Polaków i Niemców, natomiast mniej Czechów.

Schronisko jest dobrze utrzymane i stosunkowo niedrogie: za pokój o dwu łóżkach zapłaciłem 32 korony (w tem 20% zniżki dla członków P. T. T.).

Łóżka są wygodne i okrycia ciepłe, co odgrywa poważną rolę w górach, gdzie po silnem, częstem zmęczeniu i wyziębieniu należy dobrze, wygodnie się wyspać i wypocząć. Apetyt nam dopisywał, więc wycieczka poszła na zdrowie!

Krótki marsz nóg... i spać.

Noc przeleciała nie wiadomo kiedy. Budzę się koło godz. 6-tej, nogi są zupełnie sztywne, co robić?

Mamy przecież dziś iść na **Rysy** (2503 m) najwyższy szczyt Polskich Tatr.

Okazuje się, że za słaby, za mało głęboki zrobiłem sobie masarz. Rozpoczynam więc pracę nad mięśniami nóg i po 15 minutach wracam do formy. Ogólne zmęczenie jednak daje się wyczuwać.

Nie śpieszymy się więc, wycieczka nie jest zbyt długa.

Biorę najniezbędniejsze rzeczy do mego plecaka, reszta zostaje w schronisku, żona więc idzie bez obciążenia.

Wychodzimy o godz. 9-tej; pogoda dopisuje. Po drodze mijamy lub nas mijają całe procesje ceprów: słowackich, węgierskich, niemieckich i czeskich. Między niemi były np. panie w długich płaszczach z torebkami w ręce, jak na spacerze. Trzeba przyznać, że droga na **Rysy** od czeskiej strony jest bardzo łatwa, chociaż spotyka się w jednem miejscu łańcuch, ale właściwie jest on zbyteczny. Od polskiej strony — od Morskiego Oka wejście jest dość trudne dla początkujących, tak, że wiele Polaków umyślnie przychodzi do Popradzkiego Jeziora, ażeby stąd zdobyć wysoki, efektowny i widokowy szczyt.

Uczuwamy zmęczenie dnia poprzedniego, więc idziemy wolno, przystając od czasu do czasu i rozkoszując się pięknemi widokami.

O godz. 12-tej jesteśmy na przełęczy **Waga** (2343 m.), a o 1-szej na **Rysach**. Osób było tam już z kilkadziesiąt tak, że trudno było gdzie znaleźć sobie miejsce.

Istna wieża Babel; słychać rozmowę w 5 językach.

Widok dookoła śliczny: jak na dłoni leżą pod nami **Czarny Staw i Morskie Oko**; cała północna strona gór — jest silnie ośnieżona i miejscami oblodzona.

Pierwszy raz podczas tej wycieczki przystępuję do zrobienia zdjęć. Największe wrażenie wywołuje najbliżej nas znajdująca się **Wysoka** (2565 m.), najpiękniejszy szczyt w Tatrach. Choć było mglisto biorę ją na kliszę.

Długo na szczycie pozostawać nie sposób, gdyż dotkliwe zimno i wiatr daje się porządnie we znaki.

Wracamy więc szybko na **Wagę** i tam zjadamy obiad. Stąd znów śliczne, oryginalne widoki przychmurzonych szczytów i oblodzonych.

Zimno coraz dotkliwsze na przełęczy pomimo słońca. Wracamy. Nad **Żabimi Stawkami Mięguszowieckiemi** gorąco, słońce dopieka. Robię zdjęcia **Żabiego Konia** (2300 m)— jednego z najtrudniejszych do pokonania — szczytów w Tatrach.

O godz. 4^{20} jesteśmy znów przy Popradzkiem Jeziorze, a po zabraniu pozostawionych rzeczy — dążymy do **Jeziora Szczyrbskiego** (ok. 1550 m), jednego z najpiękniejszych i najelegantszych zakątków Tatr zamieszkałych.

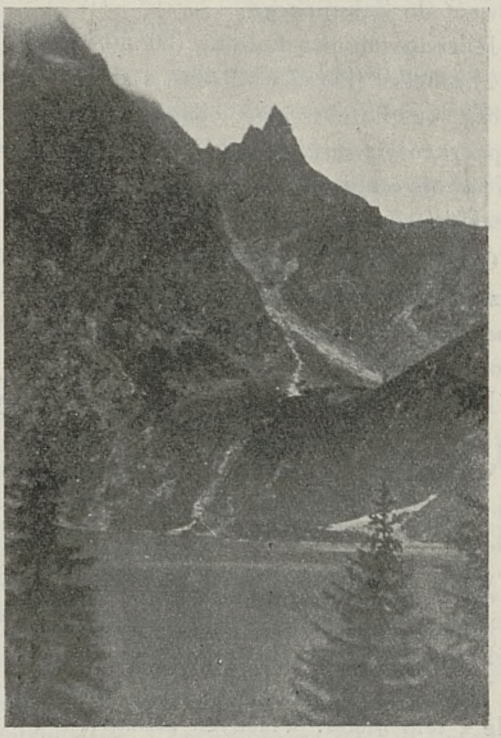
Przed 7-mą krokiem spacerowym, drogą alejową osiągamy jezioro.

Mieliśmy nocować tanio w schronisku K. C. S. T., ale po obejrzeniu koszarowo urządzonych pokojów (osobno dla kobiet, i osobno dla mężczyzn), zdecydowaliśmy się szukać noclegu w hotelu, by móc po dwudniowej „wyrypie" pożądnie odpocząć.

Stanęliśmy w „Krywaniu" zalecenia godnym, czystym — ze skromnym komfortem urządzonym hotelu i nie drogim (33 korony za pokój o dwóch łóżkach, bez żadnych ubocznych dopłat).

Następny dzień miał być odpoczynkiem, czego należy zawsze przestrzegać podczas dłuższych wycieczek, by się nie przeforsować.

Spaliśmy do ósmej, poczem wygrzewanie się na słońcu, oglądanie ślicznych widoków, zjadanie tanich owoców (1 kg. winogron ok. 1 zł.), wysyłanie kart na prawo i lewo.



fot. E. Nehring, Warszawa.

„Mnich" nad Morskiem Okiem.

Osób dookoła stosunkowo, jak na wrzesień, wiele, przeważnie śmietanki węgierskiej, czeskiej i słowackiej, która tu przyjeżdża na wywczasy.

O godz. 1-szej wyjeżdżamy tramwajem do **Tatrzańskie Łomnicy**, leżącej na wschodnim krańcu Tatr Wysokich. Tramwaj mknie u podnóża Tatr — przez 25 klm. — widoki zmieniają się, jak w kalejdoskopie. Co chwilę widzimy inne szczyty... Przybliżają się one lub oddalają, zwłaszcza wrażenie poważne robi olbrzymi **Garłuch** (2663 m.), najwyższy szczyt Tatr.

W Tatrzańskiej Łomnicy uzupełniamy nasze zapasy: chlebem i doskonałą szynką praską i udajemy się do parku (w stylu angielskim) i tam na słońcu, przysłuchując się orkiestrze klimatycznej, podziwiamy piękne kształty **Łomnicy** (2634 m.), ustępującej jedynie pod tym względem **Wysokiej**,

Po piątej wracamy do **Starego Szmeksu** (Smokovec) upijamy się doskonałą wodą mineralną, oczywiście gratis, napełniamy manjerkę, kupujemy melona i rozpoczynamy odwrót do Zakopanego.

Jedziemy linową kolejką (20 minut) na t. zw. Siodełko (Hotel Kolbach), a stamtąd piechotą do hotelu pod Kozicą (Kamzik). Z przykrością dowiadujemy się, że ani jednego pokoju wolnego niema, ponieważ duża wycieczka czeska zajęła wszystko.

Oj niedobrze! Jutro mamy ciężki dzień: przez całą **Dolinę Starołeśną, Rochatkę, Dolinę Białej Wody** i **pod Żabiem** przejść do **Morskiego Oka!**

Jedynie mogliśmy dostać nocleg koszarowy (panie z panami razem).

Woleliśmy jednak spać sami, więc wybrałem nocleg w zimnym, letnim domku z kamienia — na pryczy.

W schronisku było gwarno i wesoło. Gramofon wygrywał różne nowe fox-troty po pół korony za „kawałek".

Wygłodzeni objadaliśmy się czem było. Ale z tem bieda! Własnych zapasów nie wypadało wyciągać z plecaków, zaś „a la carte" — słabe porcje i drogie np. sznycelek — oj! maluśki — 22 korony.

Ale to nic. Przez cały czas kolacji obserwowaliśmy śliczną czeszkę, zdaje się żonę, czy siostrę dzierżawcy schroniska. Narazie myślałem, że to słowaczka, gdyż między czeszkami tak ładnej niewiasty nie spotykałem. Dla znawców — okaz pierwszej klasy Warto zobaczyć, zwłaszcza, że to nie tylko moje zdanie, ale i żony.

Rozmawialiśmy z nią długo, lecz wszystko się w życiu kończy, więc czas spać. W nocy było zimno, jak w psiarni, jednak dwa piecyki lepiej grzeją, niż jeden... To też nam było ciepło w zimnie. Tak spaliśmy doskonale, że zniknęły: „Krywań" i łóżka w Popradzkiem. Spałoby się jeszcze kilka godzin, lecz o 5-tej obudziło nas stukanie służącej. Byłem na nią zły, ale sam prosiłem o to.

Zrywamy się i ubieramy w tempie wyścigowem, by uciec przed zimnem.

Pogoda ładna! Pędzimy na chwilę do wodospadów na **Zimnej Wodzie,** poczem śniadanie: dobra kawa miejscowa i z plecaka chleb z masłem i miodem.

O 6^{15} wychodzimy. Bez odpoczynku dostajemy się prawie w 3 godziny do **Trupiarni,** t. j. Schroniska w górnej części **Doliny Starołeśnej.** Nazwa pochodzi stąd, że jakiś dowcipniś przed x laty wyrysował na ścianie wewnątrz schroniska olbrzymią trupią głowę. Obecnie jest ona zamalowana, gdyż schronisko jest zagospodarowane, ale nazwa pozostała.

Tu mieliśmy odpocząć z pół godziny. W trupiarni spotkaliśmy kilku taterników (prawdziwych), z nimi omawialiśmy trudności wejścia na pobliskie turnie, które mieliśmy tu, jak na dłoni, zwłaszcza **Ostry Szczyt** (2356 m), zwany **Śpiczastym** lub **Widłami;** pochłonął on już kilka ofiar; 1. 8. 30 r. odpadł tu od południowej ściany student ś.p. Kupczyk, przed tym dwie niewiasty na 2 m. od szczytu, powiązane liną odpadły i zginęły — dalej na północ **Mały Jaworowy,** na którym zginął najlepszy polski przewodnik ś. p. Klimek Bachleda, niosąc pomoc ś. p. Szulakiewiczowi.

Przy sposobności przypomniałem sobie i pokazywałem żonie **Czerwoną Ławkę** (2350 m), która o mało co nie pochłonęła mego życia w sierpniu 1926 r., obsunąłem się na stromym śniegu od strony **5 Stawów Spiskich** i kiedy to związany ze mną przewodnik spiski Franc, odwiązał się szybko i chciał się sam ratować...

Czas jednak nagli! Odrywamy wzrok od tych dzikich turni i chcemy ruszyć w dalszą drogę. Gdy w tem, niewiadomo skąd chmura... i deszcz. Ładna historja, jeszcze ze 6—7 godzin do Morskiego Oka! Co robić? Czekamy... Nocować tu niema celu. Niewiadomo, co będzie jutro. Wkładamy płaszcze i ruszamy. Pogoda beznadziejna... Idziemy w milczeniu. Pod samą przełęczą staje się droga

dla żony, jeszcze nie wprawnej, nieco trudna, zwłaszcza ostatni kominek; użycie rąk, a czasami kolan jest konieczne, skała mokra. W pewnym momencie słyszę z dołu głos: nie dam sobie rady.

Patrzę, żona stroi bezradna, kładę więc rębanicę i czekan i schodzę do niej. Pokazując chwyty i stopnie wyprowadzam żonę na przełęcz **Rohatka** (2290 m) — godz. 11.

Jesteśmy głodni, ale co robić, deszcz leje, mgła. Odpoczywamy kilka minut, posilamy się czekoladą i dalej. Droga łatwiejsza; w najbliższym kominku zaklinowany głaz bierzemy na siedząco — dalej zupełnie łatwo — ścieżka wyrobiona, choć mocno zmyta. Jeszcze trochę emocji na śniegu pod **Polskim Grzebieniem** i schodzimy do **Zmarzłego Stawu,** poczem, **Doliną Świstową, Doliną Białej Wody** — do Morskiego Oka.

Idziemy na głodnego, racząc się jedynie winogronami (resztkami), czekoladą i wodą.

Zmęczenie i osłabienie z głodu ogarnia nas coraz bardziej, zwalniamy kroku. Nie możemy się doczekać kresu. Przemokliśmy zupełnie, liczymy tylko na plecaki. Najgorzej było przedzierać się przez mokrą kosówkę nad „Polaną pod Wysoką".

O 5 nareszcie jesteśmy w Morskiem Oku. Plecaki wytrzymały. Warto było nosić je. Przebraliśmy się w ciepłe, suche zapasowe ubrania i do jedzenia... 11 godzin głodówki! Odetchnęliśmy — trudności — za nami. Jesteśmy u siebie.

Dobra suta kolacja z wiśniówką (własnego wyrobu), masaż, wymoczenie stóp w zimnej wodzie i spać.

Następny dzień — odpoczynkowy w Morskiem Oku, spacer do **Czarnego Stawu** i wieczorem powrót autem do Zakopanego.

Przeżycia pełne emocji różnego podłoża na długo zostaną w naszej pamięci.

W DRODZE Z JELEŚNI NA BABIĄ GÓRĘ I PILSKO.

W ostatniej prawie chwili, ze względu na niepewną pogodę, zdecydowałem się do wzięcia udziału w wycieczce na Babią przez Przyborów, Głuchoczki i Branę z zejściem na czeską stronę do Polhory i na Pilsko, gdzie mieliśmy być na uroczystości poświęcenia nowo otwartego schroniska Pol. Tow. Tatrz.

Wprawdzie, obaj moi towarzysze, stare łaziki, dla których spacer 50 klm. górami i to w 24 godzinach, nie przedstawiał zbyt wielkich trudności, popatrzyli na mnie dosyć mętnie, jednak czego się nie robi dla pozyskania i nowego łazika. Wobec czego zgoda i stanęło na tem, że jedziemy bez względu na pogodę — a że nie pożałowałem, to uwierzy i zrozumie mnie każdy, kto kiedykolwiek poświęcił trochę trudu i wysiłku po wymęczonej gdzieś w schronisku nocy, ujrzał ze szczytu, pierwsze cudowne promienie wschodzącego słońca, jasność i dzień, w którym chce się żyć. Żyć z radością w duszy, bo wszystko co małe, złe, nikłe, to tam w dole pod naszemi nogami a wokół nas spokój, swobodna natura, dobry twór Boży.

I kiedy usłyszeliśmy sakramentalne dyrektorskie „saldo się zgadza", mogą panowie jechać — to jak gdyby nam gratka do kieszeni wpadła, w przeciągu paru minut i plecak był załadowany, i buty kute na nogach i maluczko, a już siedzieliśmy w pociągu wśród gromady podobnej nam braci turystycznej, jadącej w góry.

Z Bielska wyjechaliśmy o 2.05 z kapuśniaczkiem, który po drodze zmienił się na rzęsisty deszczyk lata, że w Jeleśni, wysiadłszy około godz. 4 pop. wśród ulewnego deszczu, mieliśmy miny nie bardzo pewne siebie, tembardziej, że nic nie zapowiadało zmiany na lepsze. Pocieszało nas to, że nie jesteśmi sami, gdyż mókł również cały Komitet uroczystości. Łatwiej więc było to znieść. Rozchodząc się ze znajomymi, którzy wprost szli na Pilsko, aby tam nocować w schronisku, wręczył jednemu z nich kolega B. dwie fotografje (i mówiąc nawiasem bardzo ładną), schro-

niska na Pilsku, jako dar dla Pol. T-wa Tatrz. — poczem już sami we trzech podążyliśmy przez Przyborów ku stokom Babiej. Marsz po rozmokłym gościńcu, wśród deszczu uprzyjemniał nam kolega Funin, opowiadaniami (za które niech go nigdy żołądek nie boli), o ciepłem łóżku, kawusi i t. p. miłych rzeczach, drwiąc najoczywiściej z naszych humorów. Ponieważ jednak wszystko ma swój koniec, więc po 2 godz. i droga błotnista się kończyła, a po przejściu jakiej mokrej, jak gąbka łączki znaleźliśmy się w lesie, gdzie i deszcz i kpiny kolegi Funia mniej się dały odczuwać, gdyż pnąca się w górę droga nie pozwalała na rozgadywanie się i trzeba było zacząć dobrze nogami i płucami pracować. Ku naszej wielkiej uciesze przestał zupełnie deszcz padać tak, że mogliśmy pozwolić sobie po 3-godzinnym marszu na odpoczynek i ulżenie naszym plecakom, gdyż wzmocniliśmy się należycie u jakiegoś kmiotka w t. z. Głuchaczkach, których nazwa mówi sama za siebie.

Niedaleko Głuchaczek, gdzie znajduje się polski posterunek straży granicznej, przeszliśmy przez szlak turystyczny wiodący (już obecnie przedłużony) od Ustronia do Czantorji aż do Szczawnicy przez nasze Beskidy, i tutaj zaznaczę dla ewentualnych amatorów na przyszłość, że szlak ten jest doskonale zniżkowany i prowadzi przez prześliczne partje. Choćby np. wspomnieć o tych kilkudziesięciu morgach starego boru zwanego Martwym lasem na Jałowcowej pod Babią, wyłamanego piorunami i wichrami, który przedstawia niesamowity obraz zniszczenia i jakgdyby jakiegoś ciążącego nad nim przekleństwa, gdzie każde drzewo dorósłszy do pewnej wysokości, zostało siłą wichru lub piorunem złamane i sterczy ku niebu, niby wyciągnięta ręka, błagająca o litość. Po przejściu paru kilometrów lasem wchodzimy już na właściwy stok Brany i Babiej i śliczną dróżką, z której roztacza się przecudny widok na dolinę Żawoś oraz sąsiadki Babiej Sokolicę i Policę dostajemy się równo z zachodzącym dniem do schroniska Pol. T-wa Tat. Poczciwy Garncarczyk, gospodarz schroniska, przywitał się z nami serdecznie i wnet znalazła się na stole gorąca herbata i na deser czarne jagody, a nie zapomniał również poczciwiec o wysuszeniu naszych wiatrówek, i naturalnie zaczęła się pogawędka i przepytywanie o znajomych turystów, widzieliśmy jednak, że miał biedak czegoś dziwnie zakłopotaną minę. Niedługo, niestety, dowiedzieliśmy się powodu, miał mianowicie w schronisku gości, którzy robili mu ze schroniska karczmę, wspomniałem o tem tylko dlatego, że niestety było to polskie towarzystwo, a patrzyli na zachowanie się ich i słuchali ich niekulturalnych ryków obecni również w schronisku turyści niemcy. Chciałbym więc, aby te słowa były przestrogą, jak się w schroniskach nie należy zachowywać. Pożegnawszy po krótkim odpoczynku to niezbyt miłe towarzystwo ruszyliśmy ku szczytowi Babiej i niemieckiemu schronisku,



fot. Bronisław Drożdż, Bielsko.

Schronisko na Pilsku (1.557 m.).

gdzie mieliśmy zamiar parę godzin przenocować.

Zaczęła się więc dla nas najcięższa część drogi, podejście bezksiężycową nocą na szczyt, gdzie na każdym kroku trzeba dobrze uważać, aby na oślizgłych kamieniach nie wykręcić lub, co gorsza, nie złamać nogi, do tego deszczyk niesiony wichrem zaczął nas siec drobnemi igiełkami po twarzach, a równocześnie, z deszczem mgła zaczęła nas ogarniać tak, że prawie następując sobie wzajemnie na słabo oświetlone lampką elektryczną pięty, mogliśmy się posuwać naprzód.

Chwilowo chroniła nas przed wichrem kosówka, po wyjściu jednak z niej poczuliśmy dopiero potęgę wichury. Ktokolwiek był na Babiej dobrze sobie napewno zapamiętał, ten nieustannie wiejący wicherek, który w razie niepogody dobrze się daje we znaki, a w dzień słoneczny opali na poczekaniu skórę, niczem najlepsza lampka kwarcowa. Czuliśmy też dobrze na sobie jego zimne podmuchy. W krótkich chwilach odpoczynku migały nam w dole od czasu do czasu po rozejściu się mgły, światełka w oknach chat w Żawoś — i były podnietą do jaknajrychlejszego dostania się do schroniska, gdzie też wymacując prawie latarką znaki turystyczne, minąwszy zamglony szczyt Babiej, dostaliśmy się po dobrych 4 godzinach — od wyjścia z polskiego schroniska.

Sprawuje tutaj niepodzielną władzę nad swoją rodziną, nad turystami, nad samą Babią i schroniskiem baba-jędza, której nawet sam Beskideverein, choć jest właścicielem schroniska, nie mógł pomimo starań wyrzucić, licho wie co ją tam zaniosło, chyba dla zasady, że Babą może tylko baba rządzić, tam siedzi. Dosyć na tem, że radzę omijać to schronisko, choćby dla uniknięcia tej gburowatej baby, bo rządzi jak sama chce, zapominając, że ona jest dla schroniska, a nie schronisko dla niej, a nam dopiero papierosy ułatwiły wynalezienie przez zasanego chłopaka, kawałka pryczy. Dobrze, że wogóle mogliśmy jako tako porozwieszać nad piecem w kuchni swoje przemoczone ubrania, gdzie już i tak przypiekały się różne części garderoby tych turystów, którzy tutaj wcześniej zkądinąd przyszli.



fot. B. Drożdż, Bielsko

„Widok na Babią Górę ze stoków Pilska".

Ciemno jeszcze było, kiedy po 3 godzinach jakiego takiego odpoczynku, po łaskawem otrzymaniu na śniadanie herbaty, za którą zapłaciliśmy dosyć słono, wysuszeni, opuściliśmy schronisko. Powitał nas naturalnie wiatr, jeszcze dobrze zimny, jednak razem z nim wstąpiła w nas rzeźkość i ochota, gdyż wschodzące przed nami w mgłach słońce zapowiadało ładny dzień. I rzeczywiście, w krótkim czasie wiatr poniósł gdzieś mgły na szczyt Babiej, a przed nami schodzącemi na stronę czeskosłowacką ku Polhorze, roztoczył się śliczny widok na Pilsko i dolinę Polhory. Nad Pilskiem przewalały się jeszcze i kłębiły chmury mgieł, bielejące jednak w miarę wschodzącego słońca i znikające, — a kopuła

Pilska ukazała się nam wkrótce, jakgdyby w całej swej krasie świątecznej na przyjęcie dzisiejszych gości.

Wesoło schodziliśmy więc szybko stromymi zboczami Babiej, wśród gęstego boru do Polhory. Na granicy już prawie lasu minęliśmy zniszczone przez wojnę i dotychczas niezabudowane kąpielisko w Talhorze, smutne ruiny domów, zarządu łaźni i willi, które zarasta już młody lasek. Okolica jako miejsce letniskowe wyznaczone, jednak przez uśmiechał się bynajmniej dalszy marsz, już dobrze rozgrzanym gościńcem, zboczyliśmy z drogi na pobliską halę, gdzie uraczyliśmy się nawet na zapas żętycą i po wspólnej fotografji w szałasie z bacą, kopnęliśmy się prosto nosa bezdrożami ku szczytowi Pilska. A więc najpierw lasem, a później wyrębami wysłonecznionymi, porośniętymi wszelkiego rodzaju kwieciem i poziomkami niebywałej wielkości i malinami tak, że wprawdzie posuwaliśmy się naprzód, jednak nie mogły nas



fot. B. Drożdż, Bielsko

Plisucha nad Dunajem.

przeprowadzenie granicy tak dla Polaków, jak i Czechów i Słowaków za dalekie i trudno dostępne, a więc skazane na zupełnie zapomnienie. W samej Polhorze z powodu wczesnej godziny spotkaliśmy zaledwie paru Słowaków i dopiero na końcu wsi, która się ciągnie blisko 4 klm., wyminęły nas 3 auta ciężarowe, wiozące na poświęcenie schroniska na Pilsku Słowaków i Czechów, którzy nas serdecznie pozdrawiali. Nie obeszło się również bez spotkania z czeskim strażnikiem celnym, który jednak grzecznie na zapytanie nasze o krótszą drogę na Pilsko usiłował nas skierować drogą wzdłuż granicy. Ponieważ nam nie nie skusić całe kępy poziomek i malin, to też uraczyliśmy się, ile tylko dusza zapragnęła.

Niestety miało też to swoją złą stronę i skończyło się tem, że ani nie oglądnęliśmy się, kiedy słońce stanęło wysoko na niebie i zaczęło dopiekać swemi promieniami i o dojściu na czas na poświęcenie nie mogło być nawet mowy. Czemże byłaby jednak cała przyjemność, jeśli nie właśnie takim łazikowaniem po czystem, wonnem powietrzu i używaniu na pachnących malinach? To też z lekkiem sercem skonstatowaliśmy, że nie zdążymy i na tem się skończyło. Błądziliśmy jeszcze dobre 3 godziny po różnych dziurach i do-

łach i wreszcie doszliśmy do ścieżki, która doprowadziła nas do znakowanej drogi turystycznej na Pilsko.

Droga ta od czeskiej strony jest dosyć stroma, to też mijaliśmy odpoczywających po drodze turystów, przeważnie Słowaków, którzy specjalnie w tym dniu wybrali się na Pilsko, aby okazać swą przyjaźń, jaką żywią dla nas — Polaków.

Z dalszym objawem sympatji dla Polaków spotkaliśmy się już w schronisku, gdzie Słowacy śpiewali po słowacku „Boże coś Polskę". Wogóle czuło się że Słowacy, którzy swój los obecny upodabniają do położenia dawnego Polaków, są nam dużo bliżsi, niż Czesi. Kiedy wreszcie stanęliśmy na szczycie Pilska, to doprawdy zrobiło nam się trochę nieswojo i dlatego też nie będę nikogo nudził dalszym opisem, bo odtąd przeszło już wszystko ku końcowi bardzo prędko, bo za bardzo nas raziło to wszystko. Otóż, jak wspomniałem zrobiło nam się wcale nieswojo, ale bo też byłem przedtem parę razy na Pilsku i przyzwyczajony byłem do tego, pamiętałem że Pilsko ma 1550 m n. p. m., więc jest już sobie niczego góreczką i turystów nie było znów tak, jak grzybów, a tymczasem, wcwczas byli na Pilsku wszyscy, kto chciał i nie chciał, bo go inni wyciągnęli. Miałem wrażenie, że jestem gdzieś na t. z. Rodellmitte nad lasem Cygańskim w Bielsku, gdzie się w butach turystycznych tak, jak my przyszliśmy na Pilsko nie chodzi, bo tam jedynie niemczury w niedzielę popołudniu porozpinawszy kamizelki, koszule, spodnie, trzymając w rękach kołnierzyki, szelki, kapelusze, laski, sapiąc, fucząc pną się ze swoimi połowicami po 200 klg. żywej wagi na szczyt aż 600 m n. p. m., aby zasiąść przy kufelku w tak zwanym też schronisku i zanieczyścić powietrze cygarami, a później ze śpiewem i krzykiem wracać do domu z anstlugu.



fot. B. Drożdż, Bielsko

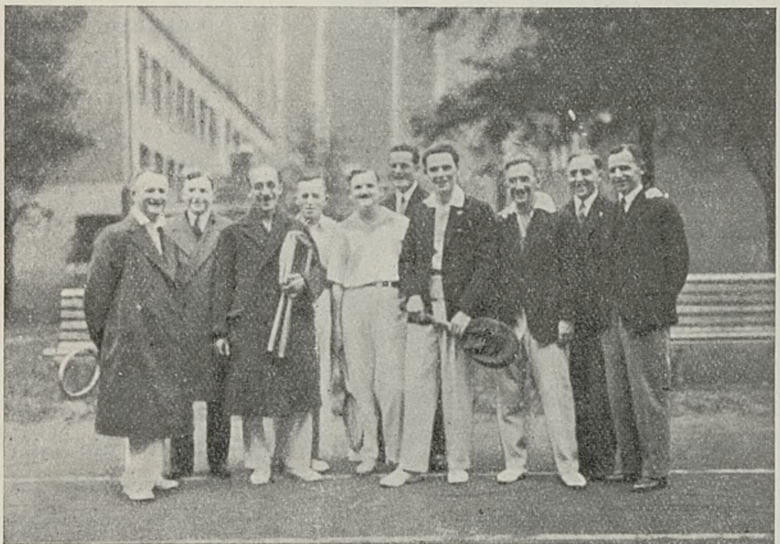
Typy górali na Słowaczyźnie z okolicy Rabca na Opawie.

Nic więc dziwnego, że w takim otoczeniu nie czuliśmy się zbyt dobrze, a ponieważ schronisko i bez nas zostało poświęcone, pokropione, oblane, obgadane, obtańczone, więc wialiśmy prędko na dół do domu, bo nie było tam nic dla nas ciekawego, a zaś wszystkich tych, którzy chcą Pilsko, lub Babią, lub Baranią, lub którąkolwiek z góreczek w naszej okolicy zobaczyć w pełnej swej krasie, bez intruzów, którzy niepokoją góry swem prostactwem, prosimy bardzo do nas, czy zimą, czy latem, a chętnie im to co zobaczyć warto i sił nabrać do pracy i nawet w tym samym schronisku się zabawić — chętnie pokażemy.

Na zakończenie dodam, że syci wrażeń, z odświeżonemi płucami znaleźliśmy się z powrotem w Jeleśni w równe 24 godzin.

MIĘDZYODDZIAŁOWY TENISOWY TURNIEJ O PUHAR.

Tegoroczny turniej o puhar wędrowny Zarządu Głównego, odbył się w Łodzi w dniach 27, 28 września. Do zawodów prócz zeszłorocznych uczestników t. j. drużyny warszawskiej i łódzkiej, stanęła w tym roku drużyna poznańska. Fakt ten przyczynił się do tego, że turniej w porównaniu z zeszłorocznym, wypadł imponująco. bądź z tego powodu, że gracze poznańscy swoją klasą przyczynili się do podwyższenia poziomu gry, bądź też dlatego, że turniej nabrał charakteru międzyoddziałowego, gdy dotychczas w zawodach sportowych walczyły tylko ze sobą Łódź i Warszawa. Tem można sobie tłumaczyć zainteresowanie się turniejem śród kolegów nietylko łódzkich, ale warszawskich i poznańskich, a nawet z oddziałów, które udziału w turnieju nie brały. Obecność kol. prezesa Madeya, oraz kol. Raczyńskiego wiceprezesa Koła Warszawskiego dodała mu jeszcze splendoru.



Grupa graczy.

Przechodzę do samych zawodów. O walce jesiennej o puhar gracze nasi myśleli już od wczesnej wiosny. Gdy tylko pierwsze ciepłe słońce osuszyło korty, zafurkotały na nich białe piłki. Cały wysiłek Zarządu Koła Sportowego był skierowany na sekcję tenisową, by umożliwić jej utrzymanie zdobytego z takim trudem puharu. Z drugiej strony wiedzieliśmy, że gracze warszawscy, dla których przegrana w zeszłym roku była niespodzianką, wystąpią w silniejszym składzie i wytężą wszystkie siły, by wygrać. Zapowiedź przyjazdu kolegów poznańskich, także nie powiększała naszych szans. gdyż przed przyjazdem doszła do nas już fama o ich grze. Stanęły więc na kortach trzy drużyny, z których każda za wszelką cenę chciała zwyciężyć.

Pierwszego dnia walczy drużyna warszawska z drużyną poznańską. Zwycięzca tego spotkania stanie do finału z drużyną łódzką. Na jedną rozgrywkę składają się dwie gry pojedyńcze i jedna podwójna.

Pierwsza para wychodzi na kort. Kolega Szulwic — Poznań i kol. Dąbrowski — Warszawa.

Poznańczyk atakuje ostro, zdobywa pierwszego gema i wkrótce prowadzi 4:2 po wygraniu długiego gema, w którym kol. Dąbrowski rozpoczyna silny atak, uwieńczony zdobyciem czterech następnych gemów i pierwszego seta wygrywa w stosunku 6:4. Z początkiem drugiego seta, zaczyna jednak swój pochód zwycięski kol. Szulwic. Rozpoczyna prowadzeniem 2:0 zabijając słabe piłki serwisowe przeciwnika. Tak samo załatwia się z piłkami z „loba", który dla wypoczynku zaczyna stosować kol. Dąbrowski, i rozwijając piękną grę przy siatce, kończy na swoją korzyść dwa sety 6:3 6:0. Poznań prowadzi 1:0. Klęskę swego kolegi pomści w następnem spotkaniu kol. Niedźwiedzki — Warszawa wygrywając łatwo z kol. Jezierskim—Poznań 6:1, 6:0. Wyrównane 1:1. Zaciętą walkę przedstawiało trzecie spotkanie w grze podwójnej. Świadczą o tem już same wyniki 9:7 i 6:4 dla Poznania. Warszawę reprezentują kol. Niedźwiedzki i Szayer, Poznań kol. Szulwic i Jezierski. W grze tej stają się widoczne walory kol. Szulwica. Znakomity przy siatce, gra pewnie i ofiarnie w głębi kortu, bardzo ruchliwy, wyłapuje wszystkie piłki swoje i większość swego partnera. Kol. Jezierski słaby w grze pojedyńczej, tutaj zaczyna grać poprawniej, szczególnie przy siatce, „zabijając" piłki często bardzo dobrze. Para warszawska gra również dobrze, technicznie nie ustępuje poznańczykom. Szanse są wyrównane, gdyż o ile kol. Szulwic jest lepszy od swych przeciwników, to kol. Jezierski jest od nich słabszy. Zwycięstwo swe poznańczycy zawdzięczają jedynie wzajemnemu zgraniu się no i nad wyraz ofiarnej grze kol. Szulwica. W pierwszym dniu wygrał więc Poznań w stosunku 2:1.

Następnego dnia w niedzielę, podczas wspaniałej pogody rozpoczął się finał. Publiczność złożona, z koleżanek i kolegów Oddziału Łódzkiego, ich znajo-

mych i krewnych z niecierpliwością oczekiwała pierwszych piłek.

Rozpoczynają koledzy: Jezierski—Poznań i Mglej—Łódź. Początkowe dwa gemy wygrywa niespodziewanie kol. Jezierski, wykorzystując czas „rozgrywania się" swego przeciwnika. Śród widzów konsternacja. Wszyscy oczekują wysokocyfrowego zwycięstwa kol. Mgleja. Przychodzi ono szybko śród huraganowych oklasków. Trzy następne gemy zdobywa łodzianin, szóstego kol. Jezierski, wreszcie kończy kol. Mglej, zdobywając ostremi piłkami trzy gemy i seta. Wygrywa w stosunku 6:3. W drugim secie kol. Jezierski zdobywa tylko jednego gema, rezygnując już od pierwszych uderzeń z wygranej. Łodzianin panuje nad sytuacją, gra ostremi drive'ami z głębi kortu, niedopuszczając, starającego się dojść do siatki przeciwnika.

Od samego początku dąży zdecydowanie do zwycięstwa, rozporządzając bardzo silnem uderzeniem dyktuje grę ostrą, jednak ani na chwilę nie stwarza wątpliwości co do wygranej. Potrafi być także ostrożnym, szczególnie przy podawaniu drugiej piłki.

Łódź prowadzi 1:0.

Drugie spotkanie miało rozstrzygnąć o wyniku turnieju, gdyż na wygranie double'a łodzianic mało liczyli. Wychodzą na kort, kol. Szulwic i kol. Augustyniak.

Pierwsze piłki zapowiadają grę ostrą i efektowną. Pierwszego gema zdobywa kol. Szulwic, drugiego kol. Augustyniak. Gra staje na wysokim poziomie, obaj gracze w ciągłej ofenzywie starają sie o silne i prawidłowe uderzerzenia, szybkie wykończenia piłek oraz ożywiają grę dobrem plasowaniem i częstem podchodzeniem do siatki.

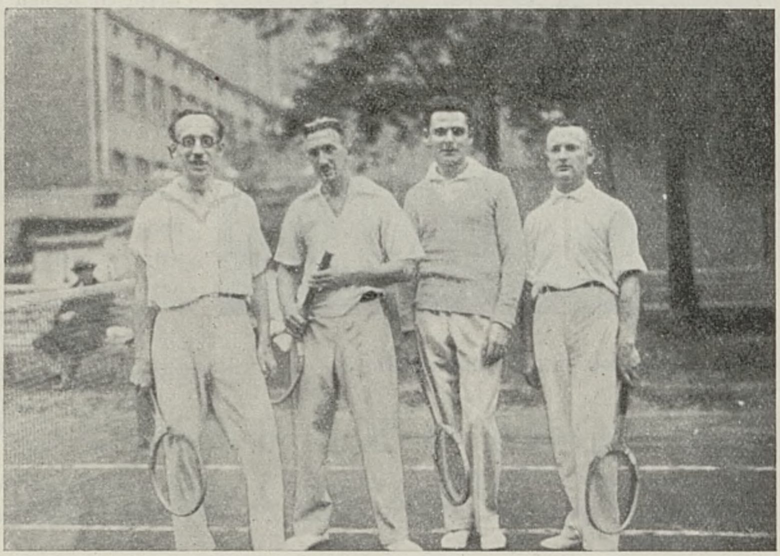
Łodzianin jest w tym momencie gry równorzędny z groźnym przeciwnikiem i nawet często wychodzi zwycięsko z ulubionych przez poznańczyka pojedynków przy siatce. Gracze zbierają gorące oklaski, rozkoszujących się ładną grą i dopingujących łodzianina, widzów.

Chwilami zdaje się, że grającym bardziej zależy na oklaskach, niż na wyniku, tak uparcie trwają w coraz ostrzejszej grze. Seta wygrywa jednak w stos. 6:3 kol. Szulwic, gracz bardziej rutynowany i zaprawiony w turniejach. Umiał połączyć skuteczność ataku z taktyką obrony.

Drugi set miał przebieg dramatyczny. Kol. Augustyniak nie jest tym samym graczem. Przegrywa wszystkie gemy, i oddaje prawie we wszystkich podaniach, obie piłki w siatkę. Przegrał wskutek nieopanowania nerwów i złej taktyki, nie stosując gry obronnej w chwili załamania się. Zbyt go uniosła ambicja i pożądliwość oklasków.

Poznań wyrównał 1:1.

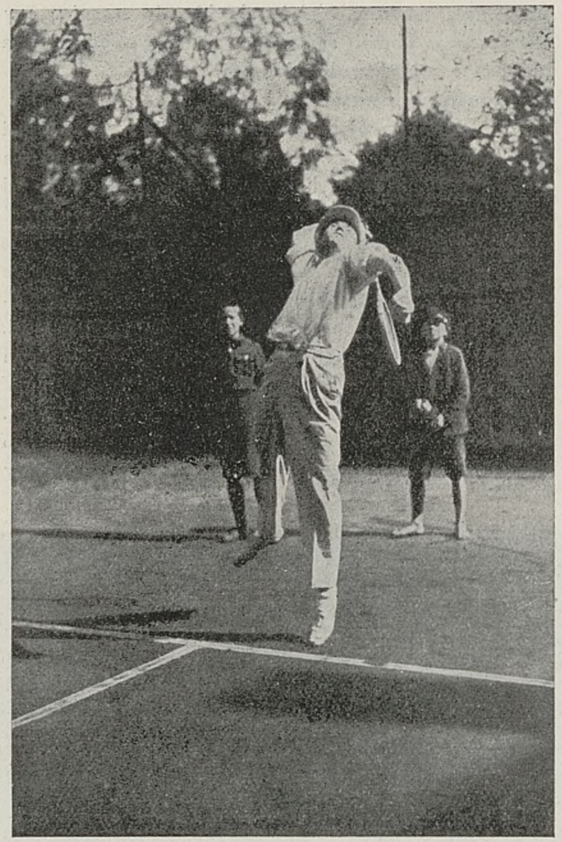
W grze podwójnej gracze poznańscy podkreślili jeszcze bardziej swoje walory i wygrali łatwo w dwóch mało ciekawych setach 6:1, 6:2. Spotkanie wygrał Poznań w stos. 2:1. Ocenę graczy starałem się podać podczas opisu poszczególnych gier, tutaj jeszcze raz muszę podkreślić, że kol. Szulwic był bezsprzecznie najlepszym graczem turnieju. Coprawda należy żałować, że w spotkaniu Poznań — Warszawa, kol. Szulwic nie grał z najlepszym graczem warszawskim kol. Niedźwiedzkim. Gracz ten sądząc z gry z kol. Jezierskim, oraz ze spotkania towarzyskiego z kol. Szulwicem, które nawet wygrał, byłby dla niego bardzo groźnym przeciwnikiem. Gracze warszawscy mieli nawet pewne pretensje, że poznańczycy użyli trick'u, podając na pierwszem miejscu, jako lepszego kol. Jezierskiego. Gra podwójna jednak wystawiła chlubne świadectwo gościom poznańskim i rozprasza najmniejsze wątpliwości co do ich klasy i zasłużonego zdobycia puharu.



Gracze z gry podwójnej Poznań — Warszawa.

Właściwy finał turnieju odbył się w stołowni bankowej podczas obiadu, wystawionego przez Zarząd Zrzeszenia, dla graczy i gości. Dyrekcję reprezentował p. Dyrektor Oddziału Tadeusz Czerlunczakiewicz, Zarząd Zrzeszenia kol. prezes Madey. Po szeregu przemówień, zaczął się jeszcze dłuższy szereg toastów. Wino długo złociło się w kryształowym puharze, obiegającym usta pijących na cześć sportu.

Zostały wręczone żetony pamiątkowe wszystkim graczom, oraz z gości: p. Dyrektorowi kol. Madeyowi i kol. Raczyńskiemu.



Kol. Augustyniak podaje.

Pogodny i radosny nastrój, wytworzony na osłonecznionych kortach, spotęgował się jeszcze w zetknięciu z atmosferą koleżeństwa, jaka panowała w tym dniu wszechwładnie.

Po którymś tam toaście rozczuliły się nawet „twarde dusze" poznańczyków i kol. Szulwic wygłosił mowę, która zdradzała raczej skłonność do abstrakcji niż do wyrafinowanej precyzji, cechującej go na korcie.

Kol. Dąbrowski zaimprowizował chór, który możliwy był do któregoś też toastu, potem ochrypł i został chórem z filmu dźwiękowego.

„Sto lat" brzmiało podczas wszystkich „grubszych" toastów, jak za zdrowie dyrektora, prezesa i pięknych koleżanek. Szczególnie wesoło było przy toaście kol. Madeya jako sportowca..., który według własnych zeznań uprawia dwa sporty: narty i flirt..., tylko że na nartach flirtuje, a flirtując pędzi na nartach...

Wszystko co piękne prędko się kończy. Nadeszła więc chwila, że wszyscy poszliśmy na dworzec żegnać kolegów. Po raz ostatni zabrzmiało na peronach „sto lat", ktoś podrzucił kapelusz, ktoś się zachwiał na nogach i ruszyły wielkie koła lokomotywy, przesunęły się czarne wagony, jak w ostatnim akcie pięknego filmu.

Światła zabłysły.

M. Kostowski, Łódź.

ROZGRYWKI TENISOWE KOŁA WARSZAWSKIEGO.

Brak własnych kortów tenisowych jest ciągle jeszcze tą główną bolączką, która tamuje u nas racjonalny rozwój tego pięknego sportu. Mimo to jednak należy z wielkiem zadowoleniem stwierdzić, że całe grono koleżanek i kolegów nie zważało na liczne przeszkody — i nie żałowało nawet dużych wydatków na wynajmowanie kortów prywatnych. Dzięki temu tegoroczne zawody, — jakkolwiek ustępowały pod względem ilości zawodników, zawodom poprzednim, — pod względem „klasy" znacznie je przewyższały. Główną atrakcją powyższych zawodów były **nagrody przechodnie** Zarządu Koła Warszawskiego i b. prezesa banku p. Stan. Karpińskiego, — rozgrywane już dwukrotnie w latach ubiegłych. Odebrać te nagrody dotychczasowym szczęśliwym zwycięzcom — oto gorące pragnienie rywali i główny bodziec w wytrwałej pracy treningowej.

O ile udało się to kol. Wdowiakównie, która pokonała w finale kol. Rychterową, — o tyle dotychczasowy posiadacz nagrody przechodniej kol. Niedźwiecki i tym razem potrafił, po zaciętej walce obronić swój tytuł mistrza — i pokonywując w finale swego rywala kol. Dąbrowskiego, — zdobył nagrodę po raz trzeci — zatrzymując ją wobec tego na stałe.

Szczegółowe ugrupowanie się zawodników, podług wyników rozgrywek przedstawia się następująco: —

Panie:

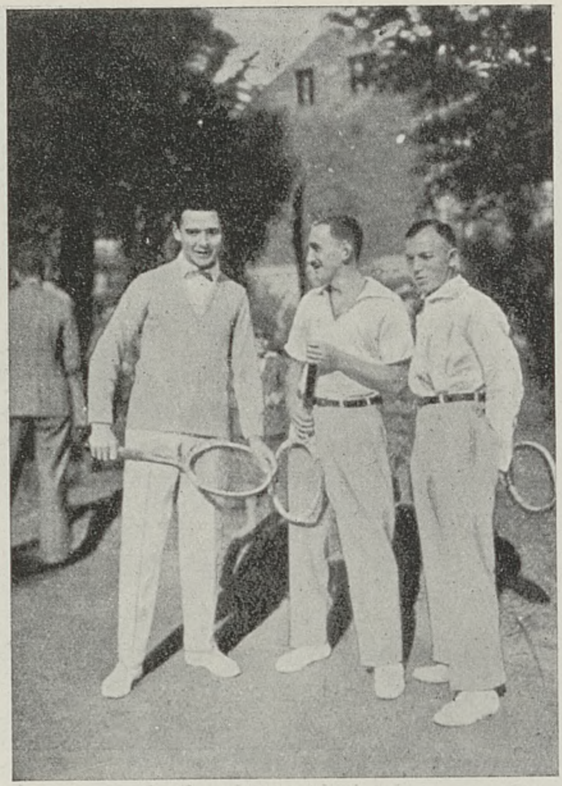
1) kol. Wdowiakówna,
2) „ Rychterowa,
3) „ Starostowa.

Panowie:

1) kol. Niedźwiecki,
2) „ Dąbrowski,
3) Dyr. Karpiński,
4) kol. Wojciechowski,
5) „ Zbijewski,
6) „ Królikiewicz.

Szczególne zaciekawienie budziło finałowe spotkanie kol. Niedźwieckiego z kol. Dąbrowskim, oraz gra Dyr. Karpińskiego z kol. Wojciechowskim o nagrodę pocieszenia — wyrażone w dużej — jak na nasze stosunki, liczbie sympatyków tego sportu, przybyłej na powyższe zawody. Głęboka cisza i skupienie panujące przez cały czas gry, oraz żywiołowe brawa przy piękniejszych piłkach, były miłymi objawami coraz to głębszego zrozumienia sportowego wśród naszych koleżanek i kolegów.

Zakończyliśmy tegoroczny sezon — szczęśliwi zwycięzcy nagrodzeni, oprócz upominków sportowych — pełnem zadowoleniem z wyników swojej pracy, a pokonani z mocniejszem jeszcze postanowieniem nadrobienia zaobserwowanych braków w przyszłym sezonie i zdobycia na przyszłych zawodach— miejsc lepszych, a nawet najlepszych. Prawdziwie miła atmosfera panująca przez cały czas zawodów — jak i niezwykłe zainteresowanie Koleżanek i Kolegów wskazuje na to, że zawody takie są u nas bardzo pożądane i powinny one znaleźć więcej poparcia i zrozumienia u Naszego Zrzeszenia.



Drużyna Warszawska.

Stanisław Dąbrowski.

Z ŻYCIA SEKCJI SPORTÓW WODNYCH Z. U. S. S. „ZJEDNOCZENIE".

Dnia 28 września r. b. Sekcja Sportów Wodnych Z. U. S. S. „Zjednoczenie" urządziła pierwsze wewnętrzne regaty klubowe, mające na celu wykazanie sprawności wioślarskiej stowarzyszonych. Regaty odbyły się podczas pięknej słonecznej pogody przy licznym udziale publiczności. Program regat zawierał 2 biegi na dystansie 1200 m. Wyniki poszczególnych biegów były następujące:

1) bieg czwórek półwyścigowych pań: Startowały 3 osady.

Pierwsze miejsce zajęła osada pod sterem p. J. Mayznerowej (B. P.) w składzie: pp. J. Kowalska (P. K. O.), W. Tomowa (P. K. O.), J. Krzyżewska (P. K. O.), J. Dulębowska (B. G. K.), czas — m. 5.32,5.

Drugie miejsce zajęła osada pod sterem p. J. Sandrowskiej (P. K. O.), trzecie miejsce— osada pod sterem p. W. Stojanowskiej (B. P. B. R.).

2) bieg czwórek półwyścigowych panów: Startowały 2 osady.



Grupa wioślarek, biorących udział w regatach Z. U. S. S. „Zjednoczenia" 28 września 1930 r.



Zwycięska osada panów w biegu czwórek półwyścigowych pod sterem Wacława Kowalskiego.



Fot. kol. Stan. Stef. Kowalski, Warszawa.

„ZACHÓD NA ŚWIDRZE"

Pierwsze miejsce zajęła osada pod sterem p. W. Kowalskiego (B. P.) w składzie: pp. M. Ulanowski (B. G. K.), J. Miszczak (P. K. O.), R. Piekarski (B. P.), Z. Repczyński (P. K. O.), czas — 5.21.

Drugie miejsce zajęła osada pod sterem p. S. Lewandowskiego (P. K. O.) czas — 5.25.

Osiągnięte wyniki świadczą, że kierownictwo Sekcji prowadzi racjonalne treningi wioślarskie i pływackie, co w wysokim stopniu przyczynia się do rozwinięcia sprawności fizycznej stowarzyszonych. W porównaniu z rokiem zeszłym liczba czynnych członków Sekcji potroiła się, jak również zwiększyła się liczba wyjazdów treningowych i turystycznych. Niestety, tabor łodzi jest stanowczo za mały i zakup nowych łodzi jest obecnie największą troską Sekcji. W tym celu Zarząd Sekcji ma zamiar urządzić szereg zabaw tanecznych w nadchodzącym sezonie zimowym, z których dochód będzie całkowicie przeznaczony na kupno łodzi.

Uroczystość zamknięcia przystani odbyła się dnia 4 października r. b. o godz. $4^1/_2$ pp. Opuszczenia bandery z masztu klubowego dokonał naczelnik przystani p. W. Kowalski w obecności władz Z. U. S. S., stowarzyszonych i gości. Wieczorem w salonach Klubu Zrzeszenia Pracowników P. K. O. odbyła się zabawa taneczna w połączeniu z rozdaniem nagród zwycięskim osadom. i uczestnikom regat.



Grupa wioślarzy, biorących udział w regatach.

Zarząd Sekcji Sportów Wodnych w roku bieżącym stanowią: pp.—prezes Alfred Szatkowski (B. P.), wiceprezes — E. Kudła (P. K. O.), kierownik Sekcji — L. Kowalski (P. B. R.), gospodarz i naczelnik przystani — W. Kowalski (B. P.). Trenerem wioślarskim był p. A. Olszewski, Pływackim — p. Raszke, trenerem honorowym — p. Z. Mayzner.

W. Kowalski.

Z ŻYCIA KOŁA W BIELSKU.

Nie będziemy się rozwodzić nad smutkami i radościami życia naszego małego kółka, na to mamy jeszcze czas, bo obecnie sami nie wiemy, czy jest nam dobrze czy źle.



fot. B. Drożdż, Bielsko

Przed startem na rynku w Bielsku.

Z chwilą wykończenia budynku bankowego i otrzymania w nim mieszkań, życie przeważnej części pracowników tut. Oddziału uległo zupełnej metamorfozie. Z mieszkań ciasnych i lichych, gdzieś na krańcach lub poza miastem, z lokalu bankowego urągającego wszelkim warunkom, przenieśliśmy się rzec można, do pałacu. Odżyliśmy i praca nasza stała się wskutek tego też inną. Niema dzisiaj godzin pozabiurowych, wszystko idzie składniej, zgorzkniali stali się pogodnymi, znikły drobne troski, z których życie się składa, a których dawniej tak dużo było, jednym słowem, zaczęliśmy życie nowe, a będąc w powijakach, trudno chyba wiele o sobie mówić.

Otrzymaliśmy lokal dla Zrzeszenia, założyliśmy w nim stołownię, przy bardzo wydatnej pomocy miejscowej i Naczelnej Dyrekcji, a skutki tego oglądać można najlepiej, patrząc na dzisiaj czerstwe i rumiane policzki tych, co dawniej więcej niż kiepsko wyglądali, trując się powoli po różnych jadłodajniach. W tym kierunku specjalnie zasłużyła się kol. Obtułowiczówna i kol. Tietze, którzy, nie szczędząc czasu i sił, dbają o swych stołowników, niczem o siebie samych.

Odżyło i życie sportowe. Mając więcej czasu, (koniec zajęć o 15-ej i $^1/_2$ godz. na obiad), można pójść jeszcze na tennis, lub wybrać się nawet na kilkogodzinny spacer za miasto.

Mamy między sobą i wybitnych asów w różnych dziedzinach sportu. I tak kol. kol.: Tietze zdobywa w rajdzie motocyklowym 1-szą nagrodę F-my „Karpaty", Drożdż okuwa już trzecią laskę turystyczną oznakami schronisk, które w swych bezustannych wycieczkach zwiedził, prócz tego obsyła różne wystawy fotografjami, Kowalski spędza urlop na rowerze, robiąc turę: Bielsko — Częstochowa — Poznań — Gdańsk — Warszawa — Lublin — Tarnów — Bielsko, jest silna czwórka tennisistów, która sposobi się na drugi rok sięgnąć po laury w rozgrywkach między-Oddziałowych i wreszcie sport nasz najnowszy, rozwinięty jedynie dzięki Dyrekcji, która go wyposażyła w sprzęt „kajaki składane" — sport, który znajduje coraz więcej zwolenników, ogranicza się na razie, na szlakach i nurtach Soły i Wisły, ale jak spodziewamy się, na rok przyszły wyjdzie na świat szerszy i ujrzy może fale Wagu, Dunaju a może i morza jakiego.

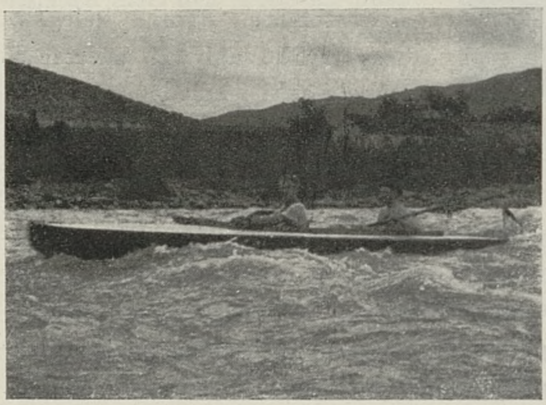
Życie towarzyskie również dopiero teraz

zaczyna się rozwijać, przejdzie jeszcze czas jakiś a stanie się ogólnem. Celem podniesienia tegoż, urządza tut. Koło co pewien czas wspólne wycieczki, zebrania i wieczorki toterem na radjo i głośnik, a wreszcie mamy moc innych jeszcze zamiarów, które, jeżeli traktować będziemy w/g maksymy „Mierz siły na zamiary“ z pewnością się urzeczy-

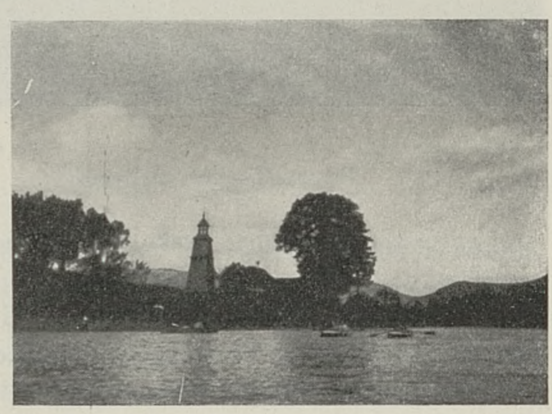


fot. B. Drożdż, Bielsko

Rozdanie nagród.



Porębka obok budującej się tamy.



Soła pod ponikową.

warzysko-muzyczne w sali Zrzeszenia; mamy zamiar obecnie, o ile nasze skromne fundusze na to pozwolą, kupić pathefon wraz z adapwistnią i wtedy korespondencja nasza, będzie zapewne tak dużą, że połowa jej znajdzie się w koszu redakcyjnym.

ZJAZD KOLEŻEŃSKI W INOWROCŁAWIU.

Dnia 6 lipca r. b. odbyła się wspólna wycieczka koleżanek i kolegów z Oddziałów: Bydgoszcz, Gniezno, Grudziądz, Leszno, Poznań i Włocławek do Inowrocławia i Kruszwicy.

Inicjatywę tego, rzec można, regjonalnego Zjazdu Koleżeńskiego dał Zarząd koła w Poznaniu „celem umożliwienia bliższego poznania się koleżanek i kolegów oraz w celu pielęgnowania życia towarzyskiego w naszej społeczności“, wobec braku przeważnie wszelkiej styczności między koleżankami i kolegami sąsiednich Oddziałów, chociażby blisko siebie położonych. Za najodpowiedniejsze miejsce Zjazdu wybrano stolicę Kujaw — Inowrocław, tak ze względów komunikacyjnych jak i krajoznawczych, mając na uwadze charakter miasta jako znanego uzdrowiska i bliskość drogiego nam z historji Gopła.



Fot E· Spychałowicz

Przed odjazdem z Poznania.

Propozycja nasza spotkała się z serdecznem przyjęciem ze strony Koła inowrocławskiego i po wstępnem omówieniu programu z przyszłymi gospodarzami, mogliśmy wysłać zaproszenia do Kół wymienionych wyżej Oddziałów, zapraszając do współudziału w wycieczce także miejscowe dyrekcje. Równocześnie prosiliśmy Zarząd Główny o wyznaczenie swego delegata, ze względu na niezwykły charakter tej wycieczki. Rzecz zrozumiała, że inicjatorowie prowadzili intensywną propagandę na terenie miejscowego Koła.

Zgłoszenia udziału napływały dość licznie, ustalenie zaś dokładnego programu i poczynienie odpowiednich przygotowań w Inowrocławiu zajęło dużo czasu i wymagało dużo starań, telefonów i korespondecji.

Zgodnie z ustalonym programem wyruszył z Poznania, w niezbyt słoneczny poranek niedzielny, dnia 6 lipca r. b. specjalny autobus, wioząc „na pokładzie“ 34 wycieczkowiczów, m. i. p. zastępcę dyrektora Ciesielskiego z żoną i kilku gości, zaproszonych przez kolegów. Czas szybko upływał, zwłaszcza, że koleżanki i koledzy już od samego rana dowcipkowali, bawiąc się przy dźwiękach gramofonu walizkowego w niewinny flirt salonowy. W szybkiem tempie mijamy wioski i miasteczka, gęsto rozsiane po obu stronach szosy, przecinającej naszą wielkopolską równinę i po $1^1/_2$ godzinnej jeździe przybywamy do Gniezna, starego grodu lechickiego. Tu, podczas krótkiego postoju, zwiedziliśmy katedrę, upamiętniliśmy nasz pobyt wspólną fotorafją u stóp pomnika Chrobrego i dalej w drogę. Po krótkim czasie mijamy Trzemeszno z historycznym kościołem w stylu bazyliki św. Piotra, przejeżdżamy następnie przez Mątwy, gdzie potężne zakłady Solvay‘a wzbudzają nasz zachwyt i już widać zdala sylwetę Inowrocła-

wia, dokąd przybywamy prawie z godzinnem opóźnieniem.

Na miejscu wita nas serdecznie nasz kol. Mrocz, pełniący z ramienia naszego Koła rolę współgospodarza, a po spożyciu śniadania, przygotowanego dla nas w restauracji „Park Miejski“, udajemy się do gmachu Banku Polskiego, gdzie dyrekcja Oddziału inowrocławskiego podejmuje wszystkich uczestników z staropolską gościnnością. Następuje wzajemne przedstawienie się koleżanek, kolegów i gości i serdeczne witanie nielicznych znajomych osób. Zebrało się nas około 110, w tem gospodarze w komplecie, jak również cały Oddział włocławski. Z dyrekcji Oddziałów zaszczycili Zjazd swą obecnością: pp. dyrektor Mocek i zast. dyr. Dobrzeniecki z Oddziału w Inowrocławiu, z Oddziału w Poznaniu p. zast. dyr. Ciesielski, z Oddziału w Włocławku dyr. Dr. Szeliga i zast. dyr. Cybulski, z Oddziału w Bydgoszczy zast. dyr. Wajnert oraz z Oddziału w Grudziądzu zast. dyr. Godecki, pozatem brał udział w naszej wycieczce p. zast. dyr. Odziału w Radomiu Bałtutis, przebywający tu w celach kuracyjnych. Jako delegat Zarządu Głównego przybył kol. Przetocki, który w imieniu tegoż Zarz. wygłosił do zebranych w serdecznych słowach powitalne przemówienie, dając wyraz zadawoleniu z tak licznego Zjazdu.

Po przemówieniu udajemy się in gremio na zwiedzenie Państwowej Żupy Solnej, gdzie zapoznajemy się z ciekawym, aczkolwiek przestarzałym sposobem fabrykacji soli. W drodze powrotnej zwiedzamy park Solanek, gdzie nastąpiła wspólna fotografja całej wycieczki przed Domem Zdrojowym. Obszerny program pozwolił, niestety, tylko na krótki odpoczynek w parku i niebawem ruszamy na wspólny obiad w restauracji „Park Miejski“. Sale restauracyjne napełniają się uczestnikami wycieczki, podczas gdy doborowa orkiestra wita przybyłych fanfarowym marszem. Obiad spożyto w bardzo miłym nastroju.

W przygotowanych autobusach i samochodach wyjechaliśmy następnie do blisko położonej Kruszwicy. Godzinna przejażdżka po pięknem Gople w ogromnej szkucie, ciągnionej przez miniaturowy holownik, dostarczone do naszej dyspozycji przez tamtejszą Cukrownię, należała bezwzględnie do najładniejszej części programu wycieczki i musi pozostać dla wszystkich uczestników najmilszem wspomnieniem. Na pokładzie panował humor wprost szampański. Prym wodził kol. „Drogowskaz“ z Oddziału gnieźnieńskiego, do ogólnego zaś nastroju przyczynił się walnie uformowany dorywczo kwartet ze swemi skocznemi melodjami pod batutą p. dyr. Godeckiego oraz tańce na pokładzie przy dźwiękach gramofonu. Po wylądowaniu zwiedziliśmy legendarną „Mysią Wieżę“, nierobiącą na widzu wrażenia przypisywanej jej starości, skąd roztacza się bardzo piękny widok na Gopło, Kruszwicę i kujawską ziemię. Zbyt rychło niestety trzeba było nam opuścić uśmiechnięty krajobraz i zapraszające do kąpieli wody Gopła, aby wrócić do Inowrocławia. Program bowiem wycieczki okazał się bardzo obszerny i musiał być wykonany co do godziny, aby umożliwić odległym Kołom powrót do domu.



Fot. E. Spychałowicz.

Przejażdżka po Gople.

Po powrocie do Inowrocławia rozeszli się goście na zwiedzanie miasta, by wrócić na godz. 8-ą, na wspólną kolację, do „Parku Miejskiego". W zamkniętem kółku zapanował nastrój niezwykłej serdeczności, najlepiej bodaj świadczący o tem, że każdy uczestnik odniósł jaknajsypatyczniejsze wrażenia z tak pięknie spędzonego dnia. Przy stole zabierają kolejno głos pp. dyr. Mocek, Godecki i Dr. Szeliga, dając w serdecznych słowach wyraz zadowoleniu, że spędzili razem z pracownikami tak przyjemne chwile oraz nadziei, by podobne zjazdy odbywały się częściej. Przemawiali w końcu kol. Górski, prezes Koła inowrocławskiego i kol. Jasieniecki, prezes Koła poznańskiego, dziękując za przybycie i gościnę dyrektorom Oddziałów, kolegom gospodarzom za współudział w zorganizowaniu wycieczki, a wszystkim uczestnikom za tak liczne stawienie się na apel Zarządu Koła poznańskiego. Okrzykiem na pomyślność Zrzeszenia i odczytaniem depeszy do Zarządu Głównego zakończono oficjalną część programu.



fot. E. Spychałowicz.

Przed domem Zdrojowym w Solankach w Inowrocławiu.

Nadszedł niestety czas rozstania się. Koło z Włocławka, najwięcej oddalone, musieliśmy pożegnać jako pierwsze z tym większym żalem, że przy nieco przytłumionych dźwiękach smętnych blusów i czarujących walczyków rozpoczęły się tańce. Niebawem przyszła kolej i na Koło poznańskie, które żegnano niemniej serdecznie. Trzygodzinna jazda autobusem przeszła szybko wśród gwaru rozbawionych wycieczkowiczów. Około godz. 3-iej w nocy wróciliśmy do Poznania.



Fot. E. Spychałowicz.

Przejażdżka po Gople.

Wspomnienia z odbytej wycieczki były jeszcze długi czas codziennym tematem rozmów, a mniej lub więcej udane zdjęcia fotograficzne pozostaną dla samych uczestników miłą pamiątką wspólnie przebytych chwil. Inicjatorom wycieczki, organizatorom i gospodarzom należy się pełne uznanie i podziękowanie za niestrudzoną energję i wytrwałość w pracy, tembardziej, że został osiągnięty zasadniczy cel Zjazdu — zadzierżgnięcie bliższych węzłów między koleżankami i kolegami sąsiednich Oddziałów.

L. S.

Z ŻYCIA KOŁA W ŁUCKU.

Rzuceni losem na wschodnie krańce Rzeczpospolitej na osławione „Kresy“ do grodu Lubarta, miasta, wprawdzie malowniczo i pięknie położonego na nadstyrzańskich brzegach, lecz nie mogącego się poszczycić zachowaniem dawnej świetności historycznej, będącego obecnie pod względem kultury jeszcze w powijakach, szukamy wszelkich dostępnych dróg, by umożliwić i uprzyjemnić swój czasowy tutaj pobyt.

Koło nasze w roku bieżącym, mimo szczupłej ilości członków, stara się w miarę możności i środków finansowych, rozwinąć swoją działalność poza granice miesięcznych list potrąceń, co niejednokrotnie stanowi jedyną działalność Zarządów kresowych kół Zrzeszenia.

Mając na uwadze szare, słotne i błotne dni jesienne i długie wieczory zimowe, zasililiśmy intensywnie naszą zapoczątkowaną w roku ubiegłym bibljotekę, zakupując przeszło 100 książek i powiększając ją do liczby 250 egzemplarzy.

Założona w kwietniu r. b. nasza Kasa Samopomocy Koleżeńskiej rozwija się nader pomyślnie; do tej pory obrót na rachunku pożyczek wyniósł zł. 7.571 przy wkładach dobrowolnych i przymusowych oszczędnościach w sumie zł. 2.180.

Posiadając najdogodniejsze warunki do rozwoju sportu wioślarskiego, zakupiliśmy dwie łodzie, jedną półsportową „Gdynię“, której poświęcenie odbyło się uroczyście w dniu 1 czerwca r. b. wraz z otwarciem sezonu i przystani tutejszego Towarzystwa Wioślarskiego.



Poświęcenie łodzi „Gdyni“.

Rodzicami chrzestnymi byli Pani Wanda Bogusławska i Pan Dyrektor Oddziału Stanisław Baczyński. Pierwszą obsadę łodzi stanowili: sternik kol. Kazimierz Bogusławski, pierwszy wioślarz kol. Konstanty Zieliński, drugi wioślarz kol. Stanisław Węgrzyn. Łódź wśród burzy oklasków licznie zgromadzonej publiczności przedefilowała przed przedstawicielami władz wojewódzkich, miejskich i wioślarskich.

Chwile spędzone na łodzi, pod zbawczemi promieniami słońca, były jedyną przyjemnością dla nas dostępną w tym lecie.

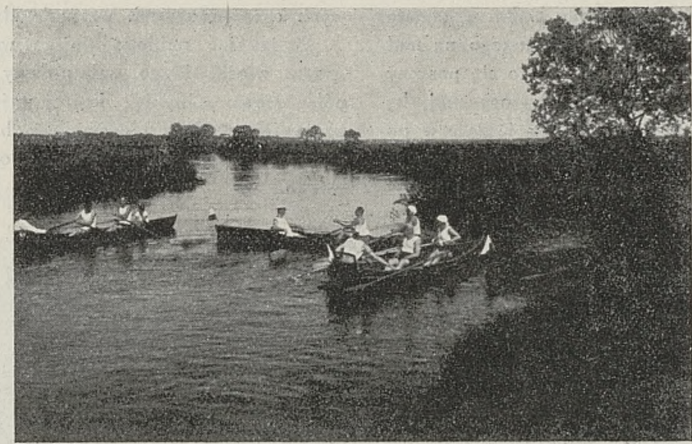
Rodzinom naszym i Paniom, „nastawionym“ mniej sportowo, daliśmy możność korzystania z tego

miłego sportu, kupując drugą łódź spacerową „Wisłę“, wykonaną w tutejszej wytwórni łodzi, przy dziale pracy więzienia łuckiego.

Korzystając z pięknej pogody, braliśmy udział w gremjalnych wycieczkach Towarzystwa Wioślarskiego łodziami do Boratyna; urządzaliśmy, poza treningiem, wycieczki, t. zw. niedzielne, na ryby i t. p.

W okresie kwitnięcia traw, kwiatów polnych i łąkowych jedzie się łodzią jak przez wąwóz kwietny umajony zielenią trzcin, wikliny i tataraków. Dalsze wycieczki byłyby o wiele ciekawsze, dlatego też wszelkiemi siłami zmierzamy do nabycia przyczepnego motoru benzynowego do naszych łodzi. Zamierzenia nasze chwilowo rozbijają się o brak funduszów, których przy intensywnem rozwijaniu się bibljoteki i taboru łodzi nie jesteśmy w stanie zgromadzić.

Pomimo tych trudności, mamy niepłonną nadzieję, że nasze zamierzenia dosięgną celu — chcieć to móc!



Z wycieczki do Borotyna.

SPRAWOZDANIE Z DZIAŁALNOŚCI ZARZĄDU KOŁA W LESZNIE ZA OKRES LETNI 1930.

Po długim okresie bezczynności, bynajmniej nie z winy poprzednich Zarządów Koła, rok obecny wykazuje dużą poprawę. Szczupłe fundusze Koła, nawał pracy nie pozwoliły w ubiegłych latach na żywszą działalność. Cały fundusz obrotowy spełniał jeden z celów naszego Zrzeszenia, był pomocą finansową w ciężkich warunkach materjalnych Zrzeszonych. Uregulowanie sprawy godzin nadliczbowych, poprawa naszych płac, oto przyczyny żywszej działalności i pracy Zarządu tut, Koła.

Koledzy byli w możności spłacić część pożyczek, otrzymaliśmy z Dyrekcji Banku zapomogę na remont kortu tenisowego, wydzierżawionego bezpłatnie Kołu przez Magistrat, Zarząd Główny przydzielił nam pewną kwotę z dorocznego funduszu na cele kulturano-oświatowe, z przeznaczeniem również na remont kortu i założenie biblioteki.

Mając już odpowiedni kapitał przystąpiliśmy do realizowania planu ułożonego na tegorocznem Zwyczajnem Walnem Zgromadzeniu. Doprowadziliśmy kort do stanu używalnego, zakupiliśmy 4 rakiety tenisowe i pewną ilość piłek, 2 rowery męskie i 1 damski, kilka dzieł różnej treści, rezerwując jeszcze kwotę zł. 200 na książki, które mamy otrzymać przez Koło Warszawskie.

Rozporządzając wolnym czasem, część kolegów i koleżanek trenuje z zamiłowaniem tenisa, a część wyjeżdża rowerami do okolicznych lasów i jezior. Koledzy wzajemnie sobie pomagają w pracy, by wyjść normalnie i po krótkim odpoczynku odetchnąć świeżem powietrzem. W lipcu bierzemy udział w wycieczce do Inowrocławia, organizowanej przez Koło w Poznaniu, pozatem kilka wycieczek do letniska w Grotnikach z pięknem jeziorem Dominieckiem i plażą ,do jezior w Osiecznej i Krzycku Wielkim, gdzie uprawiamy sport pływacki i wioślarski, choć w małym zakresie z powodu dość znacznej odległości. W dnie słotne urządzamy pogadanki na różne tematy.

Widoczne ożywienie, znika wyczerpanie pracy, powraca humor i energja życia.

Z WYDAWNICTW

NOWE DZIEŁO WIELKIEJ POEZJI W POLSCE: „TRAGEDJA“.

Władysława bar. Pilars de Pilar

Symboliczny ten tytuł nosi dzieło, zawierające wzniosłe idee Wielkiej Rewolucji w eposie bohaterskim Europy napoleońskiej, jak i nową zupełnie konstrukcję budowy dramatu, umożliwiającą zamknięcie olbrzymiego tematu epopei w ramy jednowieczorowego przedstawienia scenicznego.

Głównym bohaterem dramatu jest ludzkość cała, a najwybitniejsi działacze epoki — sam Napoleon I nawet — jest jedynie poszczególnym motywem wielkiej jedności ludzkiej, która walczy i cierpi dla osiągnięcia wyższych celów, a w owej dobie nawet pada, nie doczekawszy się wyzwolenia.

Sztuką było ujęcie największego w literaturze scenicznej tematu w jasnej i zwięzłej formie dramatu, gdzie prawda historyczna wiąże się ściśle z koncepcją artystyczną—zupełnie nową w swojem założeniu. — Dzieło przełożone na języki obce, zwraca uwagę krytyki zagranicznej i na konkursie międzynarodowym imienia Szekspira w Londynie, stawia autora polskiego w rzędzie najwybitniejszych pisarzy świata.

Wartość dzieła leży tyleż w opracowaniu artystycznem „Tragedji“, ile w dokładności i bogactwie szczegółów historji Europy Napoleońskiej.

Zdzisław Dębicki tak pisze w Kurjerze Warsz. 27.12.1927 r.: „Istotnie w „Tragedji“ mamy do czynienia z wizją historyczną w wielkim stylu. Staje przed nami w całym swoim blasku, ze wszystkiem swojem dobrem i złem, w majestacie swojej prawdy i w posępnych cieniach swoich błędów dziejowych — epoka napoleońska. P. Pilar zna tę epokę i zna ją z najlepszych źródeł“ i t. d.

W tych kilku wierszach Dębickiego mieści się określenie absolutnej pełni i potęgi artystycznej i historycznej dzieła, czyli wielka epopea bohaterska w teatrze — to jest „Tragedja“.

Jan Sokolicz-Wroczyński w Rzeczypospolitej“ 23. 9. 1928 r. między innemi pisze:

Jeśli chodzi o niektóre postacie świata i ustosunkowanie się do nich literatury pięknej, to stosunek ten zadziwia, a niekiedy nawet razi jakąś dziwną skromnością, czy powściągliwością, jakimś jaskrawym brakiem odwagi poprostu, gdy chodzi o jego wyzyskanie.

Mogą składać się na to dwa czynniki: z jednej strony owa wielorakość i bogactwo typu i jego stosunku do świata, bogactwo niemożliwe poprostu do ujęcia w wyraźny, plastyczny całokształt, bez umniejszenia fragmentarycznością — z drugiej zaś — pewnego rodzaju lęk twórcy — by przy ujęciu istoty olbrzyma — nie narodził się liliput.

Do takich właśnie nieuchwytnych niemal dotychczas zagadnień w stosunku do poczynań literackich — należy Napoleon I.

Ostatnio dopiero podjął się wielkiego trudu i pokusił o wielkie zagadnienie przeżycia Napoleona, jako zjawiska teatralnego — Władysław Pilars de Pilar w swojej „Tragedji“. Wielkość tego trudu i powaga wysiłku polega przedewszystkiem na spojrzeniu na Napoleona I, nie jak na epizod — lecz całokształt wizji historycznej w całej jej plastyce i autentyczności historyczno - ludzkiej, bez powiększania jej entuzjazmem uczuciowym, czy też pomniejszania przez soczewki politycznej animozji“.

Podobnież oceniła dzieło zagranica, jako dorobek wszechludzki, którego miejsce winno być w każdym domu.

Wydawnictwo drukuje obecnie 5.000 egz. przekładu francuskiego „Tragedji“ z dedykacją ku czci Marszałka Focha. Zaleca się czytelnikom naszym poprzeć piękne przedsięwzięcie nabywaniem polskiego oryginału dzieła w **Wydawnictwie: Warszawa, Poznańska 36, m. 23, telefon 280-76.**

Nakład luksusowy z 14-ma klasycznemi ilustracjami Zygmunta Grabowskiego. Cena zł. 35 gotówką lub ratami.

Mr. KAZIMIERZ MADURA.

SPÓŁDZIELNIA OSZCZĘDNOŚCIOWO-KREDYTOWA PRACOWNIKÓW BANKU POLSKIEGO WE LWOWIE Z OGRANICZONĄ ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ.

Początków naszej Spółdzielni należy szukać już w r. 1927.

W sierpniu bowiem tegoż roku 8 kolegów przystąpiło do Spółdzielni w Warszawie i stworzyło temsamem podwaliny pod przyszłą Spółdzielnię we Lwowie. Fakt ten, jakoteż dobry przykład świetnie się rozwijającej Spółdzielni w Warszawie zrobił swoje.

Zwołane na dzień 13 marca 1928 r. z inicjatywy ówczesnego delegata Spółdzielni Oszczędnościowo - Kredytowej Pracowników B. P. w Warszawie kol. Madury Kazimierza Konstytucyjne Walne Zgromadzenie uchwaliło jednomyślnie założyć w celach samopomocy wśród pracowników zrzeszenie pod nazwą: „Spółdzielnia Oszczędnościowo-Kredytowa Pracowników Banku Polskiego we Lwowie z ograniczoną odpowiedzialnością". Równocześnie uchwalono statut Spółdzielni, który w ogólnych zarysach opiera się na następujących zasadach:

1) członkiem Spółdzielni może być tylko pracownik Banku Polskiego ze Lwowa i Oddziałów, przyczem w szczególności miano na myśli Oddziały Małopolski Wschodniej, chcąc przez to rozproszkowane dążenia poszczególnych mniejszych Oddziałów zjednoczyć w jedną silną organizację.

2) wysokość udziału określono na Zł. 10.

3) odpowiedzialność udziałów do 10-krotnej wysokości każdego zadeklarowanego udziału.

4) Zarząd składa się z dwóch członków i jednego zastępcy, Rada Nadzorcza z trzech członków i jednego zastępcy.

W skład pierwszej Rady Nadzorczej weszli Kol. Kol. Goetz Marjan, Teppa Marja, Haleczko Adam i Rużycki Jerzy, w skład zaś Zarządu: Dr. Hierowski Stefan, Mr. Madura Kazimierz i Radzim Bronisław.

Założenie Spółdzielni oraz statut uchwaliło 17 członków założycieli.

Właściwą działalność rozpoczęła Spółdzielnia z dniem 1 kwietnia 1928 r. Ponieważ kapitał początkowy, uzyskany z wpłat na kapitał udziałowy w wysokości Zł. 1.000.— nie pozwoliłby nam na stosowne rozwinięcie ożywionej działalności, zwróciliśmy się do Dyrekcji Banku Polskiego o udzielenie nam kredytu, który też dzięki przychylności władz Banku otrzymaliśmy jako bezprocentowy w wysokości Zł. 6.000.—. Stały jednak rozwój Spółdzielni i wzrost członków zmusił nas do szukania dalszych funduszów obrotowych, przyczem niezmierne usługi oddała nam Spółdzielnia Oszczędnościowo-Kredytowa w Warszawie, spiesząc w każdej chwili z pomocą kredytową.

Odtąd rozwój Spółdzielni naszej przybrał pomyślny kierunek tak, że już pierwszy rok obrachunkowy (od 1.IV — 31.XII.1928 r.) zamknęliśmy stosunkowo wysokim zyskiem w kwocie Zł. 535.40, wypłacając 10% dywidendy od udziałów.

Nie ograniczyliśmy jednak działalności tylko na terenie naszego koła. Postępując w myśl założeń naszego statutu, wystąpiliśmy już w r. 1928 z odezwą do pobliskich kół prowincjonalnych, by poparły nasze cele i jak najliczniej przystąpiły w własnym dobrze zrozumianym interesie do naszej Spółdzielni.

Niestety nawoływania nasze tylko słabem odbiły się echem, bo poza Oddziałem w Tarnopolu, który przystąpił do nas w r. 1928 (ilość członków 8) oraz oddziałem w Stanisławowie (członków 5), inne Oddziały nie odpowiedziały na naszą propozycję, nie rozumiejąc widocznie korzyści płynących z należenia do jednej silniejszej organizacji. Pozatem mamy kilku członków w Baranowiczach,

Bielsku, Kołomyji, Pińsku, Poznaniu i Zamościu, przeniesionych tamże służbowo.

Rok 1929. Drugi rok naszego istnienia zaznaczył się dalszym pomyślnym rozwojem Spółdzielni, wynikającym z dalszego wzrostu ilości członków, kapitału udziałowego a przedewszystkiem wkładów oszczędnościowych, co specjalnie należy tu podkreślić. Celem bowiem naszej Spółdzielni jest w pierwszym rzędzie krzewienie, niestety u nas w małych tylko kołach zrozumianej, idei oszczędności. Rok ten zamknęliśmy, jak świadczy załączony bilans zamknięcia niebywałym w stosunku do kapitału udziałowego Zł. 2.500.— zyskiem w wysokości Zł. 1.067.61. Wobec powyższego Walne Zgromadzenie Członków Spółdzielni, odbyte dnia 23 stycznia b. r. uchwaliło przyznać z uzyskanego zysku 10% dywidendy i 5% superdywidendy. Równocześnie między innymi uchwalono ze względu na potrzebę powiększenia środków obrotowych podwyższenie dotychczasowego udziału Zł. 10 do wysokości Zł. 100.—, podwyższenie maksimum pożyczki dla jednego członka do Zł. 1.000.— najwyżej na okres 12-sto miesięczny.

Powyższe uchwały dały możność Spółdzielni dobrego rozkwitu i rozszerzenia jej działalności.

Obrazem rozwoju Spółdzielni będą następujące dane:

Przy założeniu Spółdzielnia liczyła 17 członków z kapitałem zakładowym Zł. 1.000 obecnie zaś liczy członków 60 z kapitałem zakładowym Zł. 6.670.—.

BILANS ZAMKNIĘCIA

Spółdzielni Oszczędnościowo-Kredytowej Pracowników Banku Polskiego we Lwowie na dzień 31 grudnia 1929 r.

Aktywa			Pasywa		
Kasa	Zł.	94.40	Kapitał udziałowy	Zł	2.500.—
Pożyczki na rewersy	„	13.530.—	„ zapasowy	„	61.40
Bank Polski (r-k oprocentowany)	„	3.682.61	Specjalna rezerwa	„	250.—
Udziały własne	„	20.—	Wkłady z wypowiedzeniem .	„	5.515.94
Odsetki nadpłacone z r. 1928.	„	137.78	**Wierzyciele**		
			Bank Polski	„	6.000.—
			Odsetki nadpłacone przez dłuż. na rok następny . . .	„	299.65
			Sumy przechodnie	„	1.770.19
			Zysk za r. 1929	„	1.067.61
	Zł	17.464.79		ZŁ	17.464.79

RACHUNEK STRAT I ZYSKÓW

z dnia 31 grudnia 1929 r.

Winien				Ma			
Odsetki				**Odsetki**			
wypłacone w got. Zł	592.62			pobrane . . . Zł	1.689.51		
nadpłac. na r. nast. „	299.65	Zł	892.27	nadpłac. z r. 1928 „	137.78	Zł	1.827.29
Koszty handlowe		„	591.92	Koszty handlowe		„	724.51
Czysty zysk do rozp. Wal. Zgr.		„	1.067.61				
		Zł	2.551.80			Zł	2.551.80

BILANS SUROWY
z dniem 31 lipca 1930 r.

Rachunki:	Obroty za czas od 1/I — 31/VII 1930 Winien	Ma	Saldo Winien	Ma
1. Kasy	Zł 75.247.64	75.227.86	19.78	—
2. Kapitału udziałow. . .	„ 255.—	6.477.—	—	6.222.—
3. „ zapasowego. .	„ —	196.01	—	196.01
4. Specjalnej rezerwy . .	„ —	550.—	—	550.—
5. Udziałów własnych . .	„ 300.—	—	300.—	
6. Wkładów za wypowiedz.	„ 8.265.11	15.285.11	—	7.020.—
7. Pożyczek	„ 48.580.—	17.220.—	31.360.—	
8. Wierzycieli	„ 1.500.—	18.000.—	—	16.500.—
9. Dywidendy	„ 333.—	333.—	—	—
10. Odsetek i prowizji . .	„ 280.50	1.967.88	—	1.687.38
11. Kosztów handlowych .	„ 31.10	135.49	—	104.39
12. Oprocent. w B-ku Pol. .	„ 26.069.70	25.46.970	600.—	
13. Sum przechodnich .	„ 8.203.45	8.203.45	—	—
	Zł 169.065.50	169.065.50	32.279.78	32.279.78

Obecne władze Spółdzielni:

RADA NADZORCZA:

Zast. Dyr. Goetz Marjan, prezes.
Haczewski Stefan, wiceprezes.
Chomin Zofja.
Stankiewicz Apolinary.

ZARZĄD:

Mr. Madura Kazimierz.
Razin Bronisław.
Baranowski Bronisław.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Artykułu p. t. „System awansu w Banku Polskim",podpisanego cyfrą p. r. nie umieszczamy, gdyż nie wnosi do dyskusji nic nowego poza negacją myśli wysuniętych przez innego autora. Zachęcamy jednak autora do dalszych, może szczęśliwszych prób ujęcia tak ciekawego i ważnego tematu.

UWAGA: Wszystkie zeszyty kwartalne „Naszego Świata" są do nabycia w cenie po zł 2 — w lokalu Komitetu Redakcyjnego (Zarząd Główny Zrzeszenia Prac. Banku Polskiego, Warszawa 20) za uprzedniem nadesłaniem należności.

WYDAWCA ZARZĄD GŁ. ZRZESZ. PRAC. BANKU POLSKIEGO. REDAKTOR DR. TOMASZ BUCZKOWSKI.

KLISZE I DRUK WYK. ZAKŁ. GRAF. E. i Dr. K. KOZIAŃSKICH W WARSZAWIE.

ZAKŁADY
GRAFICZNE
EUGENIUSZA I Dra KAZIMIERZA
KOZIAŃSKICH
DRUKARNIA
LITOGRAFIA
CYNKOGRAFIA
W WARSZAWIE
DAWNIEJ
TOW. AKC.
S. ORGELBRANDA SYNÓW
INTROLIGATORNIA
ODLEWNIA
CZCIONEK